



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY  
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

### WSPOMNIENIE.

Dancie! stary olbrzymie, ty coś po kolei  
Bywał w piekle rozpacz i raju nadziei,  
Ty zawołałeś w cierpień tłoczących godzinie,  
Że najwyższą bólu dla serca człowieka  
Jest przypomnienie szczęścia, gdy szczęście już  
[minie  
I uczyni się cieniem, który w tył ucieka.

Wiem to... i ta Franczeska twoja nieszczęśliwa,  
Która wiecznie na wiatrów drżącym tchnieniu  
[pływa,  
Nigdy nie rozłączona, nigdy niezłączona  
Z ukochaniem, któremu chce upaść w ramiona;  
To istnienie bez gruntu dla stóp, ta tęsknota,  
Wieczny żal, żądza—pustyni pałace pragnienie;  
Franczeska twoja w pieklach obok Lancelota:  
To po utracie szczęścia, jest szczęścia wspomnienie.  
M. I.

### OBOWIĄZEK.

Literatura naszego czasu zyskała bardzo dobrą, bardzo uczciwą i wysoce pożyteczną książkę, napisaną przez znanego i u nas z przekładów angielskiego pisarza, Samuela Smiles: *Obowiązek*—obowiązek podniesiony przez odwagę, cierpliwość i wytrwanie (Duty, with illustration of courage,

pacience and endurance). Smiles jest pisarzem popularnym. Metodę, używaną przez innych do rozpowszechnienia nauk i umiejętności, zastosował do filozofii moralnej i zdobył sobie na tem polu rozgłos i poczytność większą, niż wielu pisarzy głębszych jako myśliciele, wyższych jako talenta literackie. Zawdzięcza to nie tylko prostocie i przystępności: szlachetność w pojęciu życia, wzniosłość w poglądach na przeznaczenie człowieka, czysta moralność złączona ze sztuką traktowania rzeczy zwięzłe, zapewniły mu sławę, odpowiadającą pożyteczności dzieł jego. Styl jędrny, mężki i spokojny, wtedy nawet, gdy przedmiot jest patetycznym, sprawia ten skutek szczęśliwy, że czyta go się łatwo i bez znużenia, a każda teza, której dowodzi, zostaje natychmiast objaśnioną jakimś przykładem, wziętym z historii ludzkości. Urozmiaćca to rzecz i ożywia, zmniejsza potrzebę dowodzeń; teoria moralna staje przed czytelnikiem poparta praktyką życia i anegdotyczna ta strona książki, przedstawiająca czyny zacne, osobistości bohaterskie, unieśmiertnione w dziejach przez cnotę i ofiarę, przez poświęcenie się dla spraw wielkich, idei wzniosłych, może rozbudzić w czytających zapał i wyrzucić wpływ dobroczynny, podnoszący. Nie są to rzeczy nowe, ale wybór tak jest dobry i trafnie użyty, tak zawsze doskonale odpowiada założeniu, że przykłady te stanowią w części bardzo znacznej o pożyteczności książki. Można wiele rzeczy wiadomych. znanych sobie, mieć tak w umyśle pochowanych, jak chowają się klejnoty w szkatułach; Smiles dostaje je nam przed oczy, a światło, w którym je stawia, daje im blask, odbijający się na myśli i uczuciu naszym, które szlachetnie wrzusa. Czytelnikowi będącemu więcej myślicielem, przykłady te, wplatające się w rozumowanie, przerywają ich wątek, ale inaczej książka nie byłaby tyle popularną i życiem ciepłą: nie byłaby tem, czem właśnie chce ją mieć jej twórca. Nie jest to więc jej wadą, dlatego nawet, który tego za zaletę nie uznaje,

lecz właściwością tylko; więcej między wady zaliczyćby można to, że autor posługuje się za często cudzośłowami: myśli i poglądy, zdania, które sam równie dobrze, równie pięknie mógłby dać czytelnikowi od siebie, woli brać od innych, za innymi je powtarzać. W książce popularnej ma to tę korzyść, że czytelnik dowiaduje się przy sposobności, jakiej moralności duchem oddychały różne sławne i wpływowe w historii osobistości, jaką była ich zasada życiowa; a może też autor chce podeprzeć się powagą ich wysokiego stanowiska, aby działać tem silniej na przekonania? Ma to zapewne znaczenie swoje; ja przecież dla ciągłości rzeczy, dla dostojności autora, który posiada już prawo przemawiania wręcz, przenikania czytelników własną myślą, nauczania przez własną mądrość, wolałabym mniej tego, co drugostronnie dowodzi, że Smiles jest człowiekiem uczonym: zna pisarzy starożytnych, zna całą historię pojęć moralnych i wyrabiania się myśli ludzkich.

Osią duchowego życia człowieka, jego gruntem i zasadą czyni on obowiązek. Człowiek nie żyje dla samego siebie. Dobro innych jest życia jego celem takim samym, jak dobro własne, i ztąd każdy — najwyższy i najniższy — ma obowiązki. Dla jednych życie jest rozkoszą, dla drugich cierpieniem, ale najlepsza częśćka ludzkości nie żyje dla używania, dla zadowolenia własnego, ani nawet dla sławy. Dla takich siłą głównie pobudzającą czynność, jest szlachetna nadzieja o pożytecznego współdziałania w dobrych sprawach ludzkości. Człowiek jest sam sobie punktem środkowym, ale otaczają go kręgi silnie spojone; tworzy je: rodzina, społeczeństwo, ojczyzna, wreszcie ludzkość, i ztąd wywiązują się dla nas obowiązki ziemskie i pozaziemskie: względem ludzkości i Boga. Ta-to zależność nasza moralna wkłada na nas obowiązek kształcenia wszystkich władz i zdolności posiadanych: wiedza dobrego i złego, wiedza co jest sprawiedliwością a co bezprawiem, stanowi podstawę dla obowiązku.

Sfera obowiązków jest nieograniczona, ponieważ człowiek spotyka je na każdym stopniu życia. Położenia jego nie zawsze możemy sobie wybierać, ale w każdym z nich należy spełniać obowiązek: silne stanie przy obowiązku, stanowi treść wszelkiego wyższego życia. Wszystkie wielkie czyny dokonywały się i dokonywają dla obowiązku; on podnosił w piersiach ludzkich wszystkie szlachetne nadzieje, dla niego umierano w przeszłości, dla niego oddaje się życie dziś jeszcze. Kiedy nieśczęśliwa Pompeje ginęły, pogrzebywane żywcem przez lawę i popiół miotany na nią z paszczy Wezuwiusza, żołnierz stojący na warcie, umarł na tym posterunku swoim, z którego nie było komu go zwolnić. Kazano mu tu straż trzymać i choć ziemia trzęsła się pod nim, choć niebo zakryło się chmurą zasłaniającą słońce, on stał niewzruszony, aż padł trupem pod duszącą siłą wyciówów siarczanym spadającym popiołu i teraz: po upływie ośmnastu stuleci, jego hełm, dzida, napiersznik żelazny, złożone w Neapolitańskim muzeum Borbonico, stanowią relikwie, przed którymi schylają się czola.

Ten żołnierz przejął się w wysokim stopniu uczuciem karności i posłuszeństwa: obowiązkiem żołnierza. Obowiązek ten istnieje dla nas wszystkich; każdy z nas ma swój posterunek w życiu, z którego zejść mu niewolno. Istnienie ludzkie od tego się zaczyna: od posłuszeństwa, przez które dziecko poddaje wolę swoją woli rodziców; i nie kończy się do godziny śmierci, bo aż do tego kresu słuchać nam „należy władzy, która jest zawsze ponad nami—obowiązku.

Obowiązek pojęty wysoko, a pełniony z przejęciem się tak zniewala, że wykonywając go, nie myślimy już o sobie. I tak być powinno. Smiles uważa to nam za powinność, aby obowiązek był dokonywanym bez uczucia ofiary, która jednak musi być jego treścią, jak jest jego istotą moralną. Odwaga sama nie starczy na pewne wielkie obowiązki i poświęcenie niezbędnie tkwić w nich musi. Gładyator rzymski, który z odwagą lwa walczył przeciw lwu pustyni na arenie cyrkowej, ale tylko dla poklasku, dla sławy i jej nagród, nie poświęcał się, nawet oddając życie i nie spełniał też żadnego obowiązku, lecz tylko rzemiosło, przez które służył sam sobie. Pizarro, wielki łupieżca, był odważny, aż do zuchwalstwa, i przez podłe pragnienie złota dokonywał czynów ogromnej odwagi, co jednak nie podniosło go na piedestał bohaterstwa.

Pod gmach wielkości, który buduje poświęcenie, musi być daną podwalina skromności i Smiles ma w tem najwyższą słuszość, bo inaczej jakżeby ofiara powstać mogła? To coś, dla czego się poświęcamy, musi być ocenionem przez nas wyżej od nas samych, bo inaczej czyn ofiarniczy byłby nierozumem. „Chcesz być wielkim?“ zagaduje pisarz angielski słowami Św. Augustyna: „W takim razie zacznij od tego, abyś się uczynił małym“.

Najszlachetniejsze obowiązki spełniają się w tajemnicy, poza wzrokiem ludzkim. Prawa światowej moralności, światowej rutyny, nie sięgają i nie powinny tu sięgać, oddziaływać wagą swoją. Dokonywać się to musi na zasadach wyższego kodexu i szczerego *credo*, według których każdy ludzki czyn, każde życie ludzkie, pojęte być musi przez nieśmiertelne obowiązki człowieczeństwa. Złe nasze lub niedbalstwo, lekkomyślność, są to długi, które ludzkość prędzej czy później spłacać potrzebuje.

Jak przeciw uczyć się obowiązku? Najpierwszym jest silne i uporeczywie tkwiące w człowieku (perwading, abiding) uczucie obowiązku względem Boga, potem następują inne: względem rodziny, bliskich nam ludzi, pana dla sługi, sługi dla pana, człowieka dla bliźnich, obywatela dla współobywateli, dla kraju ojczystego. Połowa, a nawet większość tych obowiązków dokonywa się prywatnie, w cichości; liczy się do nich wewnętrzne nasze życie serca i umysłu—życie ducha, przez które stajemy się w prawdziwym znaczeniu tego wyrazu uczciwymi, lub nieuczciwymi ludźmi. Tu już nikt nie kępuje naszego wyboru, ducha naszego nikt nie zdola w nas zabić i zginąć on może jedynie przez akt samobójczy — przez nas samych.

Smiles zna i wspomina dzieło Juliusza Simona: *Le Devoir*. Francuzki myśliciel wywodzi całą

duchową wolność człowieka z idei obowiązku, bo oparty o nią, staje się dopiero panem siebie, dopiero przestaje być niewolnikiem nałogów, słabości, namiętności swoich, żądz i zmiennych porywów chwili, wreszcie pokus i ujarzmiających praw zewnętrznych świata. Dla obwarowania tej swobody ducha, który nadewszystko i przedewszystkiem chce słuchać obowiązku, Simon żąda swobody wolnego czynu w społeczeństwie; Smiles przecież powiada, że jest tu coś silniejszego nad wolność samą i wszelkie polityczne instytucje świata—jest sumienie. Od pierwszych początków moralnego wyrabiania się ludzkości potęga sumienia znaną była człowiekowi. Grek Menander, poeta żyjący na trzysta lat przed Chrystusem, już woła: — „W naszej własnej piersi jest Bóg—sumienie!“

Sumienie jest to władza ducha, którą możnaby nazwać religijnym instynktem. Objawia się ono najpierw przy starciu naszej wyższej natury z niższą, gdy dobre bojuje, aby opanować złe. Czy zapatrujemy się na tę kwestyę za pośrednictwem Kościoła, czy stojąc poza nim, zawsze ukazuje się nam jedno i to samo. Ludzkość walczy boleśnie ze złem, bo człowiek kocha dobro, lecz nie może go jeszcze osiągnąć w całości. I z tego to urodziła się religia. Przez walki z sumieniem człowiek doszedł do samopoznania ducha swego i wiedzy o Bogu, którego przedstawia nam prawo sumienia. Pod wpływem tego prawa człowiek poznaje co jest złem a co dobrem; może wybierać, a przez to, że ma wolność wyboru, staje się moralnie odpowiedzialnym.

Jakkolwiek jest teoretyczna wiara nasza, w praktyce życia każdy czuje, że czyny jego nie ulegają przesądzonej z góry konieczności. Nie istnieje przymus, któryby nas gwałtem pchał przed siebie, nie ma zakłęcia, którego musielibyśmy słuchać nieprzeparcie, i Stuart Mill dobrze powiada: — „Czujemy, że gdy zechcemy dowiedzieć siły oporu przeciw pobudkom, działającym w nas, możemy to uczynić. Byłoby to upokorzeniem naszej dumy, ubezwładnieniem naszej chęci doskonalenia się, gdybyśmy myśleli inaczej“.

Czyny nasze są uległe karności, bo inaczej dla czegożby stanowiono prawa? Prawa istnieją na całej przestrzeni świata i istnieją dlatego aby ich słuchano. Jest to powszechnym przekonaniem i powszechnym faktem, że ludzie są im posłuszni lub nie, w miarę tego jak sami postanowią. Czujemy, że nie nasze porywy, nie pokusy i żądze nasze panują nad nami, ale my im: że nie posiadają nad nami żadnej wyższej władzy nad naszą własną uległość. To też wtedy nawet, gdy ustępujemy, wiemy, że przy silniejszej woli, przy mocniejszym pragnieniu oporu, zwyciężylibyśmy. W miarę rozjaśnienia się umysłu, władza sumienia podnosi się w nas i wzrasta uczucie odpowiedzialności moralnej. Człowiek też nie z przymusu, ale chętnie poddaje się wtedy wpływowi Woli Najwyższej. Wie, że jest wolny; przy wiedzy jego o tem, łączenie się jego woli z wolą Bożą w wypełnianiu dobra jest aktem zaufania, które go wiedzie ku Najwyższej Istocie.

Człowiek bez religii jest człowiekiem okoliczności, wrażeń. Gdzie duch ludzki nie poddał się prawu Bożemu, tam ludzie słuchają zmysłów, namiętności, głosu egoizmu. Przecież i wtedy wiedzą oni, że postępując tak, źle czynią; prawo natury człowieka podnosi głos przeciw temu, słyszą go, ale zesłała w nich siła oporu i ulegają. To wytwarza złe nałogi, źle urabia charaktery i przy lada pokusie następuje nowy upadek. Klątwą każdego złego czynu jest to, że niesie on w sobie ziarno złe dla przyszłości.

Smiles podpira tu zdanie swoje kilku powagami w zakresie filozofii moralnej, obstając przy tem mocno, że sumienie nigdy nie zamiera zupełnie w człowieku. Nie jesteśmy mocni wykopać mu grobu i kazać, aby leżało w nim milczące. Możemy zdeptać go nogami, ale mimo tego będzie ono żyć. Każda zbrodnia, grzech, przestępstwo każde, ma swego własnego anioła mściciela, który objawia się w chwilach spełnienia ich. Nie możemy zamknąć wtedy oczu, aby go nie widzieć, zatkać uszu, aby nas nie doszedł głos jego. Sumienie czyni po dokonanej zbrodni najodważniejszych ludzi tchórzliwymi: przez sumienie przychodzi na nich dzień sądu jeszcze na tym świecie: występki dokonane

występują i świadczą przeciw nim, wołają o powrót na drogę uczciwości.

Sumienie jest objawem stałym i powszechnym. Jest ono treścią osobistego charakteru człowieka przez zdolność opierania się temu, co go naciska zzewnątrz i dręczy wewnątrz, przez zdolność rzędu i karność nad sobą. Obowiązkiem każdej istoty ludzkiej jest rozwój indywidualności swojej, życie ducha samodzielne. Człowiek ma w sobie władzę potemu, aby szukał własnych dróg swoich, wybierając dobre a unikając złych: ma wolę, ma więc potęgę, by być samym sobą, a nie echem innych, odbiciem ich: poddanym prądów pociągających go bezwłasnowolnie. Prawdziwe, dostojne człowieczeństwo, męskość ducha rodzi się z karności naszej nad sobą, powstaje przez podporządkowanie niższych sił pod wyższe bytu naszego warunki, i jest to dziełem sumienia; sumienie staje się też źródłem najprawdziwszych, najgłębszych radości, spotykanych jedynie na drodze obowiązku. Sumienie więc przy słodką uciechę każdą w dobrym celu dokonaną pracę, każde dzieło uczciwe.

Sumienie zatem czyni człowieka szczęśliwym w najwyższym szczęścia pojęciu, odgradza go od tego, co unieszczęśliwia, i Herbert Spencer powiada: — „Mało jest takich między cywilizowanymi ludźmi, którzyby nie godzili się na to, że szczęście ludzkości jest rzeczą zgodną z wolą Boga. Wszystkie religie tak nas nauczają, przystają na to wszyscy piszący o moralności, możemy zatem bezpiecznie uważać to za prawdę przyjętą.“

Człowiek bez sumienia nie może posiadać wyższej zasady działania nad rozkosz, i tak też czyni. A jednak nie na to istniejemy na świecie: nie dla ulegania naszym skłonnościom, nie dla używania. Cały ustrój natury przeczy takiemu pojęciu życia. Nigdy myśl nasza, pierwiastek nasz wyższy, nie powinien zostać poddany niższemu. Nie byłoby wtedy na świecie ofiary, zaparcia się, karności duchowej, chyba otyłe, aby uniknąć odpowiedzialności prawa społecznego. Plemię tak się rządzące, musiałyby przy namiętnościach ludzkich, niekierowanych władzą sumienia, popaść wkrótce w bezład i wytepić się samo. Częściowe tego objawy widzimy w dziełach Nihilistów, w pożarach i gruzach, któremi Komuniści francuzcy zasiałi Paryż. Ewangeliczny nakaz: — „Czyni to dla innych, co chcesz, aby czyniono tobie!“ — powinien być wypisany na każdej stronicy każdej książki, uczącej o moralności.—Życie ma to godnego uwagi—powiada Wilhelm Humbolt, że kiedy nie myśląc wcale o szczęściu, lub nie-szczęściu własnem, wykonywamy ściśle i nie oszczędzając sobie obowiązku, szczęście przychodzi do nas. Tak... wytryska ono wtedy nawet z życia pełnego trosk, niepokojów i braków“.

— Co jest twoim obowiązkiem? — pyta Goethe. — „Odrobić zalegające przed nami sprawy dnia każdego“. Ale było to zaciousne, za niskie pojęcie obowiązku i poeta pyta dalej: — „Jaki jest najlepszy rząd?“ — „Ten, który nas uczy rządzić sobą“. Plutarch powiedział mniej więcej to samo Trajanowi: że sztuka rozkazywania musi brać początek we własnej piersi człowieka. Podwaliną jej powinna być moc rozkazywania namiętnościom naszym.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## O POWINNOŚCIACH KOBIEC.

Wiersz niniejszy został nam nadesłany jako utwór s. p. Klementyny z Tańskich Hofmanowej, bez wskazania jednakże źródła, poświadczającego pochodzenie. Dwukrotnie prosiłmiśmy w piśmie naszym o dostarczenie Redakcyi potrzebnych wskazówek; lecz bez skutku. Styl, budowa i cała treść wiersza, przemawia za autentycznością; i ztąd pragnąc zachować literaturze naszej przypuszczalny zabytek po znakomitej autorce, ogłaszamy go drukiem.

Twoją płeć utworzono dla ozdoby świata,  
Kobieta w społeczeństwie święty węzeł splata;  
Zło i dobro z twej ręki dają ludziom nieba,  
Córko! takich przeznaczeń godną być ci trzeba.

Los małżonka pod twojem rozwija się okiem,  
Twojem dzieci najpierwej spoglądają wzrokiem,  
Twoich ust jedno słowo, ócz jedno spojrzenie,  
Rzuca smutek na wszystko, lub rozweselenie.

Do takich powinności zbierz usilność całą;  
Szczęście małżonka twego będzie płci pochwałą;  
Z wiosny więc swego życia sposób się do cnoty,  
Okraś wdzięki słodyczą, sercu daj przymioty.

Wychowywać swe dzieci być ich wzorem, celem,  
Będzie z czasem dla ciebie smutkiem lub weselem,  
Smutkiem, gdy zaniedbane, wzrosną w złe nałogi,  
Szczęściem, gdy na świat wielki puścisz je bez  
[trwogi.

Twoja płeć ma nad ludźmi słodkie panowanie;  
Ale potrzeba jeszcze zasługiwać na nie:  
Dać szczęście, natchnąć cnotą męża, dom i dziatki,  
I na wszystkich rozciągnąć panowanie matki.

Aby pozyskać serce, utrzymać je wiecznie,  
Samej tylko urodzie ufać niebezpiecznie;  
Dzielniejszego potrzeba chwycić się oręża:  
Rozum, cnoty, a zwłaszcza łagodność zwycięza.

Jakkolwiek jesteś piękna, nie dość na tej chwale,  
Wdzięczna twarz może wabić, nie przywiązać stale,  
Mąż i dzieci, przy tobie spędzając wiek złoty,  
Będą liczyć, nie wdzięki twoje, ale cnoty.

Podobać się—powinność kobiet z przeznaczenia;  
Jest potrzebą płci naszej użyć przymilenia:  
Lecz bez sideł byś stale taki dar posiadała,  
Radź się serca twojego, ale nie zwierciadła.

Twoja płeć bez przyczyny często humor zmienia  
I szczęście swe poświęca ceniom urojenia:  
Chcesz ciągle i przyjemną i kochaną zostać,  
Miej na wszystkie zdarzenia jedną twarzy postać.

Unikaj namiętności trujących spokojność;  
Zazdrość, zemsta, nienawiść zniżą twą dostojność;  
O stroje albo wdzięki nie chciej staczać walki,  
Gdyś jest z cnót twych przyjemną, szkodzą ci  
[rywalki?

Nadewszystko pochlebnej unikaj młodzieży;  
Nie wszystkich swym talentem zachwycać należy.  
Wielka liczba chwalonych cenę kobiet zmniejsza;  
O której najmniej mówią, ta bywa godniejsza.

Niech próżno sercą twego pycha nie nadyma:  
Kto nad wielu chce władzy, nad nikim jej nie ma;  
Trzeba umieć zniewolić bez rozkazywania;  
Nadużycie wytrąca berło panowania.

Umiarkowanie pierwszą jest rzeczą w kobiecie;  
Na niem zawisło męża szczęśliwe pożycie,  
Niechaj twojej skłonności, uczuć i pragnienia  
Płochy zbytek nie wiedzie aż do przesylenia.

Do samotnych zatrudnień wcześniej nabądź wprawę;  
Nie codzien otaczają ludzie i zabawy.  
Kształć umysł; z czasem zdanie w tę naukę jasne  
Zasili szczęście męża, a z niem twoje własne.

Gdy rządzić domem przyjdzie, twa troskliwość  
[czynna  
Oszczędność i porządek wprowadzić powinna;

Nie daj nic dla wymysłu, wszystko dla użytku;  
Uprzejmniaj twe życie, ale strzeż się zbytku.

Nie trać na nikłe stroje i kosztowne blaski,  
By zyskać wytworności znikome poklaski.  
W każdym stanie bez blasku człowiek jest bogatym,  
Gdy ma to, co istotnem, i przestaje na tem.

Uchodź od zgiełku ludzi, gdzie czas bieży marnie,  
Od rozrywek, do których tłum się płochy garnie;  
Ta, która na uciechy cały dzień poświęci,  
Nie ma do powinności i czasu i chęci.

Dla swego często szczęścia dogadzając drugim,  
Znoś nudy, chociaż krokiem przeciągnięte długim.  
Do najświętszych zatrudnień ten się ciężar miesza;  
Niech go twa dobroć znosi, stałość w nim pociesza.

Twoja płeć zbytku uciech używać nie może,  
Prostota wyprowadza często na bezdroże.  
O, ileż razy błędem niezwrótnej minuty,  
Całe życie zaćmione, cały wiek zatruty!

Gdy twoje zaufanie mąż i dzieci tracą,  
Które sami w twem sercu przywiązaniem płacą,  
Lub obcy gdy posiedzie twoją ufność całą,  
Z twych progów już na zawsze szczęście uleciało.

Weź to za prawo święte, za twych czynów miarę:  
We wszystkim i u wszystkich mieć zupełną wiarę;  
A w sporach, co w małżeństwie wydarzyć się mogą,  
Uległość niech zostanie połączenia drogą.

Na tej zgodzie, w tym związku cała wsparta siła;  
Trzeba, by rozsądkowi wola ustąpiła,  
Gdzie jeśli upór każde zahartuje zdanie,  
Hymen, nie bóstwem szczęścia, lecz jędzą się stanie.

Byle co nie zachmurzy waszych dni pogody;  
Pycha-to przy uporze zrywa węzeł zgody.  
Wyjaw zdanie, lecz zaraz zdaj je rozumowi,  
A kto ma więcej prawdy, ten niech postanowi.

Lekkomysłnych powiernic unikaj porady;  
Poszepty ich są pełne chytrności i zdrady:  
By poniżyć, zazdrość się do wszystkiego nagnie;  
Zły człowiek jak najwięcej mieć podobnych pragnie.

Masz matkę; ona zawsze twe zgryzoty słodzi,  
Nikogo twoje szczęście, więcej nie obchodzi;  
Ona niech przyjaciółką będzie poufałą,  
Na jej łono bez trwogi wylej duszę całą.

## SAMA JEDNA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Szły znowu ulicami ocienionemi. — Hrabianka na jednej z ławek usiadła.

— Mów mi pani—rzekła—przez litość nademną, abym jaknajmniej popełniła omyłek, i jaknajmniej doznała zawodów. Hrabina, Celinka....

Virey popatrzyła jej w oczy, mówiąc naprzód wejrzeniem o trudności zadania.

— Hrabina—poczęła, ociągając się—wychowała dziecię swe, bardzo rozumnie je uzbrajając do życia, do tego życia, które się, stosownie do położenia, gotuje dla niej. Celinka będzie partyą bo-

gata, żyć ma w świecie, który, choć sentymentalność afiszuje — na uczuciach nie buduje nic. Celinkę znajdziesz pani bardzo chłodną, utemperowaną, trochę dumną....

Hrabina czuła też nie jest.

— A mój poczciwy stryj Kanty — dodała Ludmiła — jeśli się nie mylę, mało podobno ma woli własnej. Ojciec go tak sądził.

— Może mu z tem lepiej—rzekła Virey. Przecież, widzi pan, że gdzie szło o spełnienie obowiązku sumienia—wolę swą umiał przyprowadzić do czynu.

Ludmiła się smutnie uśmiechnęła. W tej obrobie stryja mieściło się razem, choć nie wyraźnie, wypowiedzenie tego, że woli swej, mimo przeciwniej, musiał walką jakąś dać przewagę. Nie chciała dopytywać więcej; starczyło jej tej skazówki.

— Życie u nas—mówiła Virey dalej—jest bardzo wygodne i mile. Gości miewamy często, na rozrywkach nie zbywa. Celina jest muzykalną; czasem książki, choć pożyczone, zawędrują do nas. Hrabina czytuje, hrabia poluje, lubi konie, lubi życie, wyjeżdża często.

Jeżeli się nie mylę—dodała Virey nieśmiało,— z powodu braku wygodnego miejsca, tymczasowo zapewne, naznaczą pani parę pokoi w.... officynie, o trzy kroki od pałacu. Tam jej będzie swobodniej.

— A! choćby na strychu! Tak — wszystko to tymczasowe—odezwała się Ludmiła. Ja nie chcę być ciężarem.

— Pani zapewne też zajmujesz się muzyką—wtrąciła Francuzka.

— Trochę—bardzo mało. Lubię ją, alem się na wirtuozkę nie miała czasu i cierpliwości wykształcić — odpowiedziała Ludmiła. Moim ulubionym talentem, jeżeli go tak nazwać można, był od dzieciństwa: rysunek i malarstwo.

Ojciec, który moje upodobanie podzielał, a w duszy był artystą, a! pani, tyś go nie znała!—ojciec umyślnie przez lat kilka utrzymywał na wsi bardzo zdolnego malarza, przy którym się kształciłam. Za lepszych czasów zbudował był dla mnie atelier, sprowadził gipsy. Dziś pewnie, spójrz pani ku pałacowi, tam szklanego dachu z za drzew widać część—dziś zrobią z tego może spichrz — nie wiem — a ja tam tyle szczęśliwych godzin przeżyłam.

— Malarstwo dziś się pani na nic nie przyda—przerwała Virey—chyba dla własnej zabawki.

Ludmiła nie odpowiedziała nic, lecz nie zdawała się podzielać zdania Francuzki.

— Oprócz Celinki, hrabiego i hrabiny—mówiła ona dalej—mamy jeszcze młodego p. Juliana.

O tego nie zdawała się wiele troszczyć hrabianka i słuchała z roztargnieniem.

— Nie zawadzi, abys pani i o nim coś wiedziała — rzekła Virey. — Temperament ma ojcowski: bardzo żywy i przedwcześnie rozbudzony. Chłopca nadto przez ostrożność długo w domu na pasku trzymano. Rwie się. Ma dozorcę czy nauczyciela Buczyńskiego, który sam niewiele umie i nauczyć go pono nie potrafi już dużo, dopilnować mu nawet trudno wyrwijającego się. Chłopiec może się naprawi, ale sądzę, że jest bardzo popsuty. Dla pani mógłby być swemi adoracyami natrętnym, bo że adorować ją będzie, jak wszystkie kobiety — dodała z przekąsem Francuzka, to pewna; niech go pani od razu trzyma bardzo zdaleka.

Ludmiła się pogardliwie uśmiechnęła.

— Bądź pani spokojną—rzekła zimno—jestem ostrożną i młodych ludzi nie lubię, a taki trzpiot nie ujmie mnie sobie wcale.

— Nie wiem, co z nim później zrobić myślą—dodała Virey, ale że Julek, nim się utemperuje, wiele ich będzie kosztował trudu i pieniędzy, to pewna.

Raz tak rozpoczynawszy zwierzenia i przestrogi, posłowa, mogąc się wygadać bez niebezpieczeństwa, bo charakter Ludmiły coraz w niej większe obudzał zaufanie, stała się bardzo otwartą. Opisała Ludmile dom, życie, i chwalać oboje hrabiostwo, nie kryła ich stron słabych. Wszystko to musiało rozczarowywać, lecz zdaje się, że hrabianka od ojca już miała mniej więcej podobne i zgadzające się z temi wiadomości o krewnych; nie przysnęły więc one jej wcale. Dziękowała Fran-

cuzce, nie objawiając trwogi; owszem meztwo jej rosnać się zdawało.

W oczach przybyłej potężniała też panienska, której taką mężną, tak do życia uzbrojoną nie spodziewała się znaleźć.

Dzień upłynął na przygotowaniach i pożegnaniami.

Hrabianka była tu niegdyś, za życia ojca, pośredniczką opatrzna, która wszystkim służyła i pomagała. Ludzkie serca, choć długo wdzięczności nie umieją utrzymać, chociaż je bój życia prędko ostudza, nie są jednak tak złe jak pesymiści twierdzą. Nieszczęście, które dotknęło rodzinę, boleśnie wszystkich razilo, co tu z nią, przy niej żyli lata długie.

Niemówiąc już o Tarkowskich, duszą i sercem przywiązanych do Ludmiły, przez dzień cały przybiegali tu biedni do tej panienski, która opuścić ich miała. Plakali, z nią się rozstając. Nie chcieli wierzyć, aby ten węzeł, co ich łączył, miał się rozzerwać na wieki.

Folwark był w obłężeniu. Ludmiła ciągle do kogoś wychodzić musiała i, lży ocierając—pocieszać ich i siebie.

Na folwarku płakała panna Genowefa; stara jej matka krzątała się znów, aby panience na niczem w drodze nie brakło. Tarkowski w końcu odważył się na cztery oczy, jako stary ojca sługa, pocałowaławszy w rękę, pochyliwszy się do kolan—zapytał jej nieśmiało:

— Panińciu moja—choć to tam się do stryja jedzie, do swoich, ale niech hrabianka będzie szczerą. Bez grosza tak wybrać się nie można; trzeba swój mieć.

Ludmiła ścisnęła go za rękę.

— Mój Tarkosiu — rzekła — masz zupełną słuszność — ale przecież nie sądzisz, abym je wzięła od ciebie.

— Niel ale ja panience pożyczę.

— A kiedyż i jak ci ja oddam—rzekła hrabianka. — Tak być nie może. Z moich dawnych pieniędzy po szufladkach, po woreczkach kilkanaście rubli zostało.

— A to jest tak jak nic—rzekł pośpiesznie Tarkowski, zniżając głos. Nie można wiedzieć jak to tam będzie—i jak długo. Stryja zaraz prosić... jak Boga Kocham—nie!

— Ja o tem myślałam — odezwała się Ludmiła. — Wiesz, że mi niektóre moje sprzęty i kosztowności zabrać pozwolono. Ja ci je zostawuję do sprzedania.

— Ale czyż wszystko sprzedawać, nawet pamiątki?—szepnął Tarkowski.

— Nie—po matce i ojcu pamiątki zostaną przy mnie, dopóki—rzekła ciszej—dopóki los nie zmusi mnie ich się pozbyć; ale są inne rzeczy.

Rządca rozpoczął dyskusję. Był piękny i kosztowny fortepian, były mebelki, było jedno futro, dziś zbyteczne, coś sreberka i złota. On to szacował na jakie tysiąc rubli. Ludmiła mniej. Tarkowski ofiarował paręset rubli zaliczki. Było to prawdziwe dobrodziejstwo. Ludmiła je przyjmowała, ściskając go; lżej jej było jechać z jakimkolwiek zapasem, a ubogi rządca nie ważył nic. Ze łzami wdzięczności przyniósł jej pieniądze.

Virey, która z drugiej izdebki, nie podsłuchując nawet, mogła się domyślać z dochodzących ją wyrazów, o co chodziło, widząc wielką miłość dawnych sług ojca dla sioroty, nienawykła do takich objawów serca, była niemi do niewypowiedzenia zdumiona. W atmosferze zastygłej w której żyła, egoizm był tak wyłącznym żywiołem, iż się to Francuzce wydawało jakby snem nieprawdopodobnym.

Gdy po wyjściu Tarkowskiego powróciła do Ludmiły, nie mogła się powściągnąć od wykrzykniku:

— A! pani, jacyż to są ludzie poceiwi, jak oni was Kochają!

Ludmiła wskazała na niebo, wzruszona.

— Wszystko to winnam ja temu, którego już niema na ziemi. Tę miłość on swoją miłością dla ludzi obudził, zaszczerpił, wypiełgnował. Wierz mi pani, że jedno wielkie serce jest jak ciepłe ognisko, które szeroko na około siebie sieje jasność i ogrzewa. Takie serce on w piersi nosił, ten biedny ojciec mój, i tego serca stał się ofiarą.

Mnie on drogą po sobie zostawił spuściznę, owoce tylko. Łzy mówić jej nie dały.

Nazajutrz rano — powóz upakowany i bryczka Tarkowskiego, wyładowana ocalonemi tłómkami panienski, stały przed małym gankiem folwarku, otoczone ludźmi zapłakanymi. Virey, blada, chodząca poruszona tak, że sama poznać siebie nie mogła. Lody, w których była zaskrzepła, tajały.

Gdy powóz wreszcie ruszył, a płacz głośny wybuchnął i Ludmiła rzuciła się w głąb, zakrywając oczy, Francuzka pierwszy raz po latach dwudziestu uczuła zwilżone powieki.

I konie ruszyły, unosząc w świat sierotę.

Kilka tygodni upływało od przybycia p. Ludmiły do stryjostwa Kantych. Na pozór wszystko się tu składało nadspodziewanie łatwo i gładko.

Ludmiła przybyła przygotowaną tak dobrze, iż hrabianka tej nieoszacowanej Virey wychwaliła się za to nie mogła. Znoszono się wzajemnie, lecz stosunek, jaki był w dniu pierwszym, pozostał dziwnie chłodnym i niemiłym.

Jeden stryj Kanty, nieśmiało tego jawnie okazywać, był dla synowicy — prawie czułym; lecz, chcąc jej życie to uczynić znośniejszem, musiał w największej tajemnicy przed żoną i z ostrożnościami brać się do rzeczy.

Hrabianka Alfonsyna może właśnie dlatego, iż nie synowicy zarzucić nie mogła, że w postępowaniu jej nie znajdowała nic, na coby się skarżyć miała, że czuła jej wyższość nad swą Celinę—nienawidziła jej sercem całym. Zarównie wstrętliwą była ona dla młodej hrabianki.

Obie z przekąsami, z szyderstw, z pochwałami przesadzonemi, mówiły o niej przed Virey, która uśmiechała się, milczała, ale nie potakiwała.

I to je niecierpliwiło.

Jak łatwo on sam i wszyscy przewidywali, Julek na pierwsze wejrzenie do pięknej kuzynki rozgorzał płonieniem miłości nadzwyczajnym. Matka, która się tego tak obawiała, teraz, gdy Ludmiła ani patrzyła na jej syna, a obchodziła się z nim jak z dzieckiem, miała jej prawie za złe to, że ślicznego Julka tak pogardliwie odrzuca. Wszystko to razem mnożyło niechęci. Sługi, przypochlebające się zawsze panom, wynajdywały tysiączne powody do donoszenia i oskarżania przybyłej panny o dziwactwa.

Z oficyny do pałacu biegały plotki, połykane chciwie przez p. Celinę i odnoszone matce z nawiązką.

Hrabianka zdawała się uczucia rodzicielki nie tylko podzielać, ale je spotęgowywać w sobie. Przyczyną tego było, że chociaż Ludmiła unikała zbytniego w salonie popisu z sobą i jak mogła najmniej w nim miejsca zajmowała, siadywała milcząca, kryła się po kątach — jednakże przybywający goście, mimowolnie porównując dwie kuzynki, bardzo jawnie zajmowali się Ludmiłą i okazywali dla niej współczucie. Składali hołdy, które Celinie zdawały się jej odkradzione.

Szczególniej gniewała się na nią za to, że hrabia Zygmunt, dawniej zdający się zbliżać do Celinie, teraz zwrócił się był widocznie do ubogiej kuzynki. Matka mówiła, pocieszając córkę, że to jest chwilowa fantazyja tylko; lecz i ona znajdowała Ludmiłę kokietką i miała do niej gniew za niewierność hr. Zygmunta.

Od wielu lat, gdy jeszcze Celinie była w krótkiej sukience, ulubionym projektem hr. Alfonsyny, który ojciec podzielał, było wydanie Celinie za hr. Zygmunta. I nie dziwy: miał on za sobą wszystko, czego tylko matka dla córki wymagać mogła: piękne bardzo imię stare, wychowanie najstaranniejsze, poetyczną idealną piękność mężką, umysł na dwudziestokilkoletniego młodzieńca znakomicie rozwinięty, wielki statek i wielką fortunę. Był jedynakiem u ojca. Świetna przyszłość otwierała się przed nim.

Młodzieniec był blondyn, z niebieskimi ślicznymi oczyma, wyrosły bujnie, rumiany, zręczny, a przytem w salonie tak dystygowany, tak na swój wiek poważny, choć wesół, tak wielki pan, choć miły i serdeczny człowiek, że się w nim wszyscy kochali.

Odebrać tak idealnego przyszłego konkurenta

Celinie, która według matki życzenia była dla niego stworzoną—to zbrodnia!

Wprawdzie Ludmiła ani myślała, ani starała się o to, unikała Zygmunta jak mogła, mówiła z nim tylko zmuszona, okazywała chłód nadzwyczajny; ale mimo to wszystko, a może właśnie dlatego, hrabia widocznie usiłował się zbliżyć—bywał nawet częściej i przysiadawał się uparcie.

Nienawisć matki i córki, z tego powodu do Ludmiły powzięta, rosła do niewysłowionych rozmiarów. Hrabianka mówiła otwarcie przed mężem, z twarzą rozplamioną gniewem:

— Póki ona tu będzie, my nigdy Celinie za męża nie wydamy. To jest chytre, najniebezpieczniejsze stworzenie. Gra pokorę, ubiera się za mężczyznę, a jest najzuchwalszą, obrachowaną zalotnicą. Zygmunt do niej przystał. O ożenieniu mowy niema, ale go bałamuci.

My—powtarzała—Celinie, dopóki ona tu, nie wydamy. Ja ci to mówię. Celinie jest bezporównania piękniejszą, ale ma poczucie swej godności; do niej nie łatwo przystąpić—a ta! ta!

Hrabia poruszał ramionami—milczał.

Julek, który, jak powiadał przed Buczyńskim, wściekle się w kuzynce zakochał—i pod officynami, lub wypatrując, co się około nich działo, całe dni trawił, na najstraszniejsze niezważając pogroźki, do hr. Zygmunta powziął największą też nienawisć. Ten dla niego, jak dla innych, był z nadskakującą grzecznością, ale młokos ostro mu się stawał.

— Ja powiadam, panu Julianowi—powtarzał codzień Buczyński—to jest głupstwo, ale to się źle skończy, przestrzegam, bo to już miarę przechodzi! jak Boga Kocham!

— Niech się kończy choćby tragicznie—wołał zapalony Julek—ja, dla niej, gotowym życie poświęcić.

Buczyński groził pięścią i zapędzał do książek; lecz raz dawszy uczniowi wziąć nad sobą górę i dopuściwszy go do zbytniej poufałości, żadnej teraz mocy nie miał nad nim.

Julek wybiegał; Buczyński gonił za nim, chwycił go za poły, obrywał surdut; pasowali się, i młodzieniec wychodził z walki zwycięzko. Nauczyciel, któremu się Julek wyrwał, łamał ręce i wracał do pokoju, mrużąc:

— Z tym chłopcem przyjdzie zwaryować!

Julek był w istocie zuchwały. Sam nie ważył się wchodzić do oficyny, wiedząc, że źle będzie przyjęty, ale siostrę sobie pozyskawszy, ile razy ona szła dla formy kuzynkę odwiedzić, towarzyszył jej. Tu odegrał najśmieszniejszą rolę, gdyż Ludmiła nie patrzyła nań i zbywała się go, ignorując; nie zrażał się tem jednak.

Od dni kilku nosił się nieborak z myślą wyrażenia jej uczuć swych na piśmie, w niemożności wypowiedzenia ich słowem. List ten pisał i przepisywał ciągle, czytał, mazał. Buczyński, rewidując stolik ucznia, bo się tego już domyślał, concept pierwszy pochwycił i spalił. Julek wpadł na niego, pokłócił się; siadł stworzyć inny. Nosił go teraz przy sobie.

Najmocniejsze miał postanowienie: gorącą swą miłość wypowiadać. Oprócz tego chodziły mu myśli najzuchwalsze po głowie, takie, jakie tylko w jego wieku, temperamentie i niedoświadczeniu roić się mogą. Chciał pochwytać Ludmiłę na przechadzce w ogrodzie, chciał się zakraść wieczorem w jej mieszkaniu. Był tego przekonania, iż uboga kuzynka nie będzie się mogła opierać jego miłości.

Ludmiła zbywała go zawsze chłodem lub trochę szyderstwa.

Chociaż życie, jakieśmy mówili, płynęło dosyć przyzwoicie i gładko, sierocie na drobnych przykrościach, na rozmaitych lekceważeniach i niechęci oznakach, nie zbywało.

Hrabianka Alfonsyna zbierała się na jakieś wystąpienie. Obawiała się tylko — męża, chociaż w życiu nigdy nie zwykła go się była lękać. Znała lub przeczuwała affekt jego dla synowicy; nie życzyła sobie go jątrzyć. Był to jedyny wypadek, w którym mu uległa, bo uczuła, że opór spotka twarde, a nie życzyła sobie w życiu prejudykatu tego, aby mąż odniósł nad nią zwycięstwo.

Sama więc nie chciała być czynną, ale wszel-

kiemi sposoby działała na niego, aby go do jakiegoś kroku pobudzić.

Kanoniczki znowu poczęły się przypominać.

— Ale, mój aniele — rzekł hrabia — to nie jest mała rzecz. Posag trzeba dla imienia Sciborzan-ki dać odpowiedni; kosztować będzie grubo.

— Niech kosztuje co chce — tu o Celinę idzie — wołała Alfonsyna. — Ona nam hrabiego Zygmunta odbierze. Celina już zaczyna do niego tracić serce; ona ma charakter: gdy raz się zniechęci, nie powróci. Niema innego sposobu, tylko ją u Kanoniczek umieścić. Ja sama gotowam jechać do Warszawy.

Hrabia potniał i wzdychał.

— Na miłość Boga! cierpliwości!

(Dalszy ciąg nastąpi)

## NOWINY PARYZKIE.

Opportunizm i Intransygenty. — Na którą stronę przeważa się dziś szala? — Porażka Rocheforta i spółki. — Emancypacja kobiet. — W jakim dziś położeniu znajduje się ta kwestya we Francji. — Główne promotorki ruchu: L. Michel, pani Mink, Hubertyna Auclerc. — Książka Dumasa w tej sprawie: *Les femmes qui tuent et les femmes qui votent*. — Jego sprytne klasyfikacja Aspirantek do stanu wolności. — Odpowiedź E. Girardina. — Śmierć pana Chasles'a; kilka osobistych wspomnień. — Fałszywstwo starych dokumentów. — Straty w Instytucie Francuzkim. — Śmierć pp. Rebera i de Sauley. — Emil Girardin, jako herszt szpiegów pruskich w Paryżu. — Obchody pamiątkowe w Besançon we Francji i w Bolonii we Włoszech, na cześć W. Hugo i Adama Mickiewicza.

Paryż, w Grudniu 1880 r.

Powiadają — *tradunt*, że kiedyś, w poufnej rozmowie, p. Grévy, dzisiejszy prezydent rzeczypolitej francuzkiej, mówiąc o Gambecie, tak zawyrokował: *Ten umrze w skórze buntownika*. Otóż wyroczenia p. Grévy okazała się fałszywą, jak większa część wyroczeni; a samowładny marszałek Izby poselskiej tak się daleko odsadził od ścieżek, którymi się bunt przesuwa zwykle, że go już zaczynają uważać jako przyszłego dyktatora Francji. Z radykalizmu przechodząc do oportunizmu, Gambetta zrzucił ową skórę buntowniczą, a przywdział wygodne futerko, w którym może czekać bezpiecznie, co losy przyniosą, a pierwsze natarcie na spokojny i zaczarowany zamek oportunizmu, wykonane przez Intransygentów, ze sławnym Rochefortem na czele, pokazało jawnie, że wszechwładny marszałek nie zapomina wcale, z jakiego pochodzi kraju, i że maxymy sławnych mistrzów italskich przytomne są w jego umyśle. Ów mądry przepis starego sekretarza starej rzeczypolitej Florenckiej, Machiavelliego: jak to należy walczyć wpośród dwóch ścierających się partyj, iż potrzeba być zarazem strasznym lwem, i układnym lisem: *bisogna essere Volpe, essere Leone*, nie wyszedł mu z pamięci. A kiedy lekki i nierozgarniony Rochefort myślał, nacierając, że pod futerkiem marszałkowskim znajdzie zaraz ciało swego przeciwnika, znalazł z zadziwieniem stalo- wy, potrójny puklerz, a w kieszeni w dodatku stary zapomniany bilecik.

Konfuzya była niestychana! I ten wstrętny pamphliarz, którego główną i jedyną bronią jest kłamstwo bezczelne i potwarz, zapomniał języka w gębie, kiedy mu pokazano własny list, w którym, wyrzekając się Komuny i komunistów, jak dyabła na chrzcie świętym, prosi o ratunek i pomoc. Za oszczerstwo przeciw generałowi Cissey skazany na grzywny, za kłamstwo przeciw Gambecie skazany na połknięcie tych jądów, na chwilę zamknął przecież, ten *bezczelny turbator chori*, jak go nazywa w swoich artykułach zagranicznych, przecież republikanin, Castellar.

Rochefort, którego wykształcenie i zmysł polityczny nie miały nigdy ani pełniłości, ani doniosłości wyższego umysłu, jest poprostu jednym z tych szermierzy pióra, którzy, nie oglądając się na żadne względy, gotowi są zawsze do potłuczenia szyb w oknie, jak powiadają Francuzi... bez funduszu i bez odpowiedniej pozycyi, folgując swoim zachciankom, potrzebuje dużo pieniędzy i, aby ich dostać, puszcza się na wszelkie najrzykowniejsze zamachy. Za Cesarstwa rodzaj gwałtownego pamfle-

tu, jaki obrał do walki z rządem, pod formą „Latarni“ — udał mu się i zjednał powodzenie i imię, bo wyrażał w owej chwili dążności i chęci tego legionu niezadowolonych, którzy szli w ścieśnionym i wycieczonym szyku na zburzenie Cesarstwa. Był więc racya i był powód do tego rodzaju pamphletu. Dziś to nie istnieje, a Gambetta, chociaż wiele może zapewne, nie jest przecież ani najwyższą władzą, ani nawet władzą czynną i widomą w machinie rządowej; porywać się więc nań z tą samą bronią, do której ukucia i on też za Cesarstwa przyłożył rękę było to fałszywem i niekonsekwentnem wyjściem. Plwanie zatem Rocheforta spadło mu na nos i został odprowadzony jak mały, krnąbrny chłopczyk, za ucho do szkoły; gorzej nawet, bo się pokazały, niepiękne i nieszlachetne jego postęпки: a mianowicie, że nietylko Gambetta wpłynął na wybawienie go od śmierci, ale, że większa część 25,000 franków, posłanych na opłacenie ucieczki z Nowej Kaledonii, wyszła z rąk Gambetty — dawny dyktator zatem był dobroczyńcą pamphliarza. A w dodatku, i na uwięźnienie całości tego matactwa, pokazało się, że i z tych 25,000 fr. Rochefort 10,000 tylko zapłacił kapitanowi okrętu, który go wywoził z miejsca kary, a resztę schował do kieszeni!...

Ostatecznie — oszczerstwa dawnej *Latarni* zgasły wraz z zakopconym knotem tego sprzeczku. Tak upadły wobec obojętności publicznej i wyroków trybunalskich, forytowane z takim zapalem, oskarżenia przeciw p. Marcerou, dawniejszemu dyrektorowi więzień w Wersalu, przeciw generałowi Cissey i nakoniec przeciw Gambecie. Zdaje się, że na tem się skończy, bo zdekredytowanemu Rochefortowi, trudno będzie podnieść się z ostatniego upadku.

Jeżeli się odwrócimy od gryzących się w ten sposób kundłów o tę kość, która się zowie *pięć frankówką*, a dla dostania której należy „*seruire na łupkach*“, przed wzgardliwym i brutalskim motłochem, któremu potrzeba schlebiać, którego potrzeba bawić, a który za to wszystko płaci najczęściej kopnięciem nogi: jeżeli, powiadam, odwrócimy się od tej zziąanej szajki i wpatrzmy się w to, co się dzieje tam znowu, gdzie emancypacja kobiet przedstawia się w osobie dziwnej trójki: zamaszystej Ludwiki Michel, uwolnionej z wygnania, szczupłej ruchawej brunetki pani Mink, a nakoniec szykownej panny Albertyny Auclerc, — przekonamy się, że i tu namiętność, poradniczka ślepa i gwałtowna, łamie wszelkie zapory, dobre czy złe, potrzebne czy szkodliwe, aby dogodzić osobistemu, namiętnemu „widzimisię“ tych pań.

Gdybyśmy, mówiąc poludzku, mogli być pewnymi naszego zdania, wówczas absolutnie wolno-by było rozstrzygać kwestye, tyżące się zwłaszcza, nie nas samych, ale innych mnogich osobistości, tyżących się ludzkości prawie, lub nawet!... Ale kiedy po wielu a wielu latach doświadczenia, posiwiali w jarzmie życia, kiedy z zimną i surową uwagą, bezstronnie, dotykamy się kwestyj tyżących się moralnej, duchowej strony ludzkości, czujemy natychmiast jakiś niedostatek wiedzy i ze drżeniem patrzymy na to, jak najlepsze, najświętsze nieraz zamiary przychodzą w końcu, zbiegiem tysiąca nieprzewidzianych okoliczności, do konsekwencyj najstrasliwszych i do wypadków wręcz przeciwnych naszym nadziejom i chęciom. Cóż dopiero mówić, kiedy, dzięki wymownej czy wyparzonej gębie, mogąc zabierać bez wahania się głos, na jakiembądź zgromadzeniu, albo w pierwszym lepszym dzienniku, podajemy jako *specimen probatum*, nasze, osobiste, własne mrzonki, nasze własne, i nam samym niejasno przedstawiające się, chęci?

To stanowisko, jakie zajmuje we Francji domaganie się dla kobiet równości stanu, nosi na sobie charakter ogólny, socyalnych reform, podjętych i prowadzonych w tym błogosławionym kraju od stu lat zgóry. Nie jest to wcale spokojny, poważny, równy w swym biegu rozwój wielkiej i potężnej myśli, ale tylko najskrajniejsze jej ostateczności. Z jednej strony domaganie się bez miary i końca, z drugiej obojętność i szyderstwo. Jakże tu wierzyć w postępek? i jak się go można spodziewać?

Odpowiedź na to zapytanie znajdziemy zresztą w książce Dumasa, która, chociaż nie zasługuje

ani na tyle pochwał, ani na tyle obojętności, jakie ją spotkały, jest przecież doskonałym streszczeniem tego, na jakim punkcie znajduje się we Francji sprawa „wyzwolenia“ kobiety.

Mówię tu o książce *Kobiety, które zabijają i kobiety, które głoszą*. O kobietach, które zabijają, niewiele mamy do powiedzenia. Dumas, opierając się na kilku wypadkach zemsty niewieściej, na kilku zbrodniczych objawach *szalonej zemsty*, całą ich winę składa na prawo o małżeństwie, a jedyny ratunek widzi w rozwodzie! Aby przyjsć do takiej konkluzyi, nie potrzeba na to ani wiele sprytu, ani wielkiej bystrości. Zapewne, że w pewnych okolicznościach ten specyfik, u nas praktykowany oddawna, może być środkiem ochronnym; ale to w razach wyłącznych tylko. W ogóle ustanowienie rozwodów nie przeszkodziło ani u nas, ani nigdzie na świecie, aby istota porwana szałem namiętności, szałem zazdrości, nie posunęła się niekiedy do najstrasliwszej ostateczności i w morderstwie nie szukała zaspokojenia żądzy nieubłaganej i ślepej *zemsty*. Otóż tu kwestya jest, nie w rozwodzie, nie w ślubach niezem nierozrywanych, ale w rozstroju społecznego stanu, pod którym podkopano i zniszczono wszelkie podwaliny wiekowe moralnych zasad. Ta część książki Dumasa mniej nas dziś obchodzi; przejdziemy więc do drugiej części, która jest głównym punktem — przejdziemy do kobiet, które głoszą.

Chociaż Dumas bynajmniej nie jest przeciwnym domaganii się kobiet, aby mogły zająć stanowisko polityczne na równi z płcią męską, czyni przecież pewne zastrzeżenia w tym względzie, na poparcie których ustanawia pewien obrachunek, dochodząc: jaka to cząstka płci pięknej przeznaczona być się zdaje do korzystania z tego przywileju, gdyby ten w końcu nawet został udzielony poszukującym go postulantom.

Z głównej więc i ogólnej masy kobiet wyłącza on najpierw kobiety szczęśliwe w domowym pożyciu, kochające i kochane od mężów i dzieci, których ilość daleko jest większa niżeli spodziewać się można, i które nietylko, że domaganie się owego popierać nie będą, ale niezawodnie przywileju, gdyby ten był im udzielony, jako przeciwnego swemu szczęściu, wcale nie przyjmą.

Następują potem kobiety, i to jest czoło, jakby śmietanka inteligentnej masy, które, przynosząc, dojrzałością rozumu, dzielnością charakteru i pewnością sądu, owiele, nietylko mężów swoich, ale nawet większą część męczyzna, potrafiły zająć w życiu i społeczeństwie odpowiednie miejsce, bez protestacyi i bez pozwów. Te kobiety, wyminąwszy, jak to powiadają, legalne i tradycyjne trudności, mają zdobyte stanowisko tak pewne, tak doskonale odpowiadające naturze rzeczy, że innego ani domagać się, ani przyjąć nie zecheją.

Dalej idą kobiety — i to jest ogromny zastęp, niezmierna większość wielkiej całości płci pięknej, kobiety wieśniaczki i robotnice. Tych ukształcenie, a nawet inteligencya, znajduje się na stopniu, który odpowiada stosunkowo inteligencyi i ukształceniu obok nich żyjącej masy małżonków i synów, i nie ma nawet pojęcia o domaganiach się tego rodzaju, podniesionych poza obrębem ich mozolnej pracy ręcznej i ich prostego spokojnego życia. Te pozostaną biernymi w całej sprawie.

Według tego obrachunku otrzymujemy, jako ostateczny wypadek, pewną liczbę wiadomych, i znanych indywidualności na wszystkich punktach ziemi, które z własnej lub obcej winy nie mogąc być włączone do powyższej klasyfikacyi, to jest nie będąc ani szczęśliwymi żonami, ani szczęśliwymi matkami, ani kobietami, co umiały wyminąć trudności położenia, jakie pochodzi z zawisłości jednej płci od drugiej i zamienić rańtucha na inne odzienie, ani kobietami ludu, to jest kobietami, których zadaniem jest karmić, żywić, chronić rodzinę, pracować w pocie czoła, w braku czasu na mrzonki — nienależąc do żadnych tych wielkich podziałów, służą w nieregularnych szykach i zamiast być guwernantkami, pannami kredensowemi lub klucznicami, pragną zasiąść na krzesłach ławnika, posła, ministra i t. d. i t. d.

(Dokończenie nastąpi.)

## Korrespondencja zagraniczna.

Podarki noworoczne. — Bazar świąteczny. — Nowości literackie: *Pan z panów*, powieść J. I. Kraszewskiego. — *Mozaika*, Berlicza Sasa. — *Pamiętniki Wybiickiego*. — Nowy materiał do biografii Wincentego Pola. — Powtórne wydanie dzieła profesora Małeckiego o Juliuszu Słowackim. — *Z ciężkich dni*, powieść T. J. Jeża. *Album na dochód Zagrzebia*, wydawane przez *Koło literackie*. — Konkurs na dziedziawę teatru hr. Skarbka. — Olbrzymka i karły. Nubijczy. — Wykłady naukowe Towarzystwa Pedagogicznego dla kobiet. — Nauki przyrodnicze w szkołach żeńskich. — Stowarzyszenie zapobiegające żebractwu. — Dzieci żebrzące. — Komisya do rozpoznania stosunków rękodzielniczych. — Pomnik ś. p. Artura Grotgera.

Lwów w Grudniu 1880 r.

Podarki noworoczne wchodzą u nas coraz bardziej w modę. W tym celu księgarnie zapełniły swe wystawy wydawnictwami obrazkowymi, głównie dla młodego wieku przeznaczonymi, a w sklepach zabawek dziecięcych ruch i natłok, już na tydzień przed Bożem Narodzeniem, zwiastuje porę podarunków, kolend i Bożego drzewka, również coraz bardziej upowszechniającego się u nas na uciechę dziatwy domowej. Od Paryża, który na świat cały swojemi *Etrennes* słynie, Lwów różni się tem: że tam wszyscy bez wyjątku, starzy i młodzi, bogaci i ubodzy starają się wzajemnie okazać swą życzliwość i pamięć upominkami noworocznymi, — u nas zaś głównie obdarza się tylko pokolenie młodsze, świat dziecięcy; powtórę, że gdy w stolicy świata pomiędzy tego rodzaju upominkami książki nie mała odgrywają rolę — u nas przeciwnie, w porównaniu z innymi handlami, księgarnie podobno najmniej obfite mają żniwo noworoczne. Nie jest to może objaw bardzo pomyslny, ale, jak na teraz, tak jest niezaprzeczenie.

Dobroczynność korzysta także z pory noworocznej, aby zabrać swą część — najlepszą, zaiste, bo przeznaczoną na osuszenie łez, na ulgę cierpieniom. Księżna Leonowa Sapieżyna urządziła, na kilka dni przed Bożem Narodzeniem, jak to corocznie czynić zwykła, z gronem pań dobroczynnych, bazar podarków świątecznych i zabawek dziecięcych na korzyść Zakładu Św. Teresy i szpitalika dziecięcego, którego jest opiekunką i założycielką. W bazarze znajdowały się najrozmaitsze przedmioty, po większej części pochodzące z darów i kwesty, a zatem po bardzo umiarkowanej cenie sprzedawane, aby tym sposobem zapewnić jaknajlichnieszszą sprzedaż, a temsamem jaknajwięcej zyskać na cel dobroczynny dochodu. Były tam piękne rzeźby ze Szkoły Rymanowskiej, rozmaite ręczne wyroby domowe, najwięcej płodów przemysłu i rękodzielnictwa krajowego. A był też i bufet, boć i sił pokrzepienie potrzebne na tym naszym placu padole, a w bufecie bazarowym znalazłeś o każdej porze za guldena od osoby przekąskę, nawet dosyć wykwinną, śniadanie czy podwieczorek. O zaopatrzenie bufetu starały się panie dobroczynne, a gulden szedł dla ubogich. Tak tedy rok stary przyniósł nowemu w upominku piękny dochód na utrzymanie zakładów zostających pod skrzydłem dobroczynności publicznej.

Nietylko dzieci i ubodzy otrzymali dar noworoczny. Prassy tutejsze obdarzyły nas całą wiązką publikacji rozmaitego rodzaju. Pomiedzy nimi najwięcej znajdzie się powieści i pamiętników. Na długie wieczory zimowe najpojętniejsze to czytanie, najwięcej znajduje zwolenników, a wydawcy, chcąc nie chcąc, stosować się muszą do wymagań czytelników. Z powieści ukazała się J. I. Kraszewskiego jednotomowy utwór *Pan z panów*. Bohaterem jej jest młody człowiek, wielkiego rodu i milionowego majątku, który wszakże nie posiada błędów i narowów tej sfery arystokratycznej, do której z rodu i majątku należy, ale, jako wzór człowieka i obywatela, wybitnie się wyróżnia od całej otaczającej go sfery, stanowiącej tło powieści. Jest to więc powieść tendencyjna, z tendencyją moralno-społeczną, wyraziście skreślona, zanadto może wyraziście, z uszczerbkiem artyzmu. Wszelka doskonałość skupia się tu w jednej, głównego bohatera powieści, osobie; cechują go wszystkie cnoty moralne

i zalety obywatelskie. Skromność w ocenianiu siebie w życiu publicznym i domowym, zacne cechy, pojęcie obowiązków swego stanowiska, gotowość do każdej zacnej pracy publicznej: oto są przymioty, cechujące młodzieńca, w którym Kraszewski kreśli ideał magnata arystokratycznego rodu, co, idąc z postępem ducha czasu, wśród nurtującej wokoło niego gangreny społecznej zachował zdrowe uczucie i jasny pogląd na rzeczy. Za to wszystkie inne osoby powieści, wyobrażające owo tak zwane, czyli raczej samo siebie tak nazywające *towarzystwo* arystokratyczne, reprezentują żywy, z jakich, niestety! rzeczywiście w znacznej przynajmniej części składa się arystokracja. Na pierwszym tu planie blaga i próżniactwo, pyszałkowstwo, samolubstwo i pomiatanie niższymi, szulerka, i tak dalej, wszystkie wady, zasługujące na wystawienie pod pręgierz publiczny. Przynać potrzeba, iż wprowadzone tu na widownię powieściową postacie, narysowane są ze znajomością rzeczy, bystrością w pochwytowaniu rysów charakterystycznych i wprawą pióra właściwą Kraszewskiemu. Intryga powieściowa, romans, zajmują bardzo podrzędne miejsce, — przesuwały się zaledwie dostrzeżone na drugim planie, oile było to już koniecznym do uwydatnienia właściwego charakteru. Trafność rysunku i zdrowa tendencja są główną zaletą powieści.

Dalej mamy przed sobą *Mozaikę, Gawędy szlacheckie z lat ubiegłych*, Berlicza Sasa, w dwóch tomach, wydane, podobnie jak i powyżej wymieniona powieść Kraszewskiego, nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. Początek był dawniej drukowany w jednym z pism warszawskich. Całość wychodzi poraz pierwszy w obecnym wydaniu na widok publiczny. Jak w kalejdoskopie przesuwały się tutaj czasy po części już zapomniane, z młodości autora, oryginalne postacie, stare portrety, a za tło służą dwory szlacheckie, magnackie komnaty, step ukraiński, futury kozackie. Są to spisane przez starca tradycje, częścią zapamiętane, częścią zasłyszane już tylko. W kalejdoskopie tym świecą tu i owdzie barwnym płomieniem cudnej piękności kamyki, kunsztownie oszlifowane, tworząc arabski powiązane treścią powieściową; całość atoli cechuje się, powiedziałbym, pewnem znużeniem pióra, co tem się tłumaczy, że Berlicz Sas tworzył tę *Mozaikę* gawędziarską w późnym już bardzo wieku. Pióro miał pełne powabu, tej prawdy naturalnej, tego wdzięku, prostoty, którego nie zastąpić nie zdoła. Starość wszakże przyćmić musiała koniecznie czasem urok kolorytu i ciepło opowiadania. Zdarzenia, postacie i obrazy żywiej zapamiętane przedstawiają się pod piórem jego wydatniej, wiernie i pociągająco; lecz mieszają się z nimi inne, bledsze, i jakby mgłą dalszej przeszłości przed wyobraźnią starca osłonięne, przewlekają czasami nad miarę opowiadanie, pozabawiając je żywości, pociągającej czytelnika. Strutyński umiał patrzeć i słuchać, a miał duszę wrażliwą, miłość rzeczy swojskich i żywą wyobraźnię. Konserwatysta z przekonań i osobistych tradycji, wiernym pozostał temu stanowisku; a chociaż nie zawsze można się zgodzić z jego poglądem na rzeczy i z oświetleniem obrazu, to jednak niepodobna odmówić mu tego, że był dobrym swego czasu i społeczeństwa malarzem rodzajowym.

Oprócz rzeczy powyższych kończy księgarnia Gubrynowicza i Schmidta przedruk *Pamiętników Wybiickiego*, które są oddawna całkiem wyczerpane — nowe zatem wydanie było bardzo życzanem; kończy też druk drugiego tomu *Ekonomii* prof. Leona Bilińskiego w drugim wydaniu, którego tom pierwszy przed rokiem już prasę opuścił. Na tom trzeci i ostatni zapewne znów długo poczekać będzie potrzeba, albowiem autor dzieła swe w niniejszym wydaniu znacznie przerobił i uzupełnił, a liczne zajęcia jako profesora, posła, delegata Towarzystwa Gospodarskiego i wielu innych prac publicznych i naukowych uczestnika, nie dozwala mu zająć się wyłącznie wykończeniem i przyspieszeniem wydania dzieła o którym mowa.

Zaraz po Nowym Roku rozpoczyna też księgarnia druk obszernie opracowanego i wiele nowych wiadomości podającego dzieła *O Wincentym*

*Polu*, przez Karola Estreichera. Materyały tu zamieszczone, na których Estreicher osnuł swą pracę, jako to korrespondencje Pola z rodziną i t. p., odnoszą się głównie do wieku młodości poety, — jego pobytu na uniwersytecie wileńskim, następnie w Dreźnie; wyświecają zatem chwile życia jego i stosunki najmniej znane, a bardzo ciekawe, jak w ogóle wszystko, co do uwydatnienia postaci ludzi znakomych i genezy ich talentu przyczynić się może. Do tego rodzaju dzieł należy też wydana obecnie powtórnie praca prof. Antoniego Małeckiego, która w pierwszym wydaniu tak wielki a zasłużony miała rozgłos: *Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła w stosunku do współczesnej epoki*. Pierwsze wydanie było w dwóch tomach; obecne wyszło w trzech, albowiem autor uzupełnił dzieło nowymi materyałami, dostarczonymi mu przez ś. p. Eustachego Januszkiewicza, tudzież zaczerpniętymi szczegółami z ogłoszonych niedawno w jednym piśmie peryodycznym urywków dziennika samegoż Słowackiego.

Księgarnia Polska wystąpiła pod Nowy Rok z przesliczną powieścią T. T. Jeża: *Z ciężkich dni*. W powieściach Jeża przeważa zazwyczaj naturalizm, gdziegdzie do wielkiej posuwający się jaskrawości. Służą mu one do przeprowadzenia pewnych zasadniczych myśli, pewnych społeczno-politycznych tendencji. W powieści niniejszej tendencja, stanowiąca myśl główną, jakkolwiek jasno uwydatniona, nie szkodzi jednak całości. Rysunek wszędzie szlachetny, dramatycznego żywiołu wiele, ujmująca prostota malowidła, dobra znajomość czasów i ludzi. Jest to powieść obyczajowa, na tle historycznym osnuta. Autor przenosi nas w drugą połowę XVII wieku, w owe dni ciężkie, co zawisły nad Polską w epoce pomiędzy hańbą traktatu Buczackiego a zwycięstwem Chocimskim, opisuje zagony Tatarskie, straszliwe, nieustannie powtarzające się kłeski zniszczenia i jassyru, ciężące nad Ukrainą i Podolem, wprowadza czytelnika na magnacki dwór hetmana Jabłonowskiego we Lwowie i do ustronnego futuru na Ukrainie, wreszcie do obozowej kwatery króla Jana III, maluje karmazynów i szaraczków, rycerskie cnoty i wady społeczeństwa, a zestawiając, uosobiony w małżonce hetmana, z Kazanowskich Jabłonowskiej, ascetyzm religijny, ovladający pewne warstwy świata ówczesnego, a ograniczający się głównie na umartwieniu własnego ciała i podobnych praktykach pobożnych, zestawiając ten rodzaj pobożności z pracą pożyteczną, nieustającą, z pobożnością na pełnieniu cnot miłosierdzia chrześcijańskiego polegającą — wykazuje praktycznie niejako w ostatecznym rozwiązaniu powieści wyższość owej cnoty, na pracy i czynnej miłości bliźniego opartej, nad czczy sentymentalizm religijny, rozmiągający się z podstawami cnot chrześcijańskich, dającymi zdrowie i siłę społeczeństwu. Taka jest myśl zasadnicza nowego utworu T. T. Jeża.

*Koło literackie* postanowiło wydać książkę zbiorową na dochód trzęsieniem ziemi zniszczonego Zagrzebia. Będzie to pierwsze wydawnictwo, z którym *Koło* wystąpi przed światem; ale o tem, niestety! bardzo mało donieść mogę. Wybrany przez *Koło* komitet redakcyjny osłonił się taką tajemnicą i tak jej zazdrośnie przestrzega, że nietylko my, zwykli śmiertelnicy, ale nawet, co osobliwsza, *Koło* samo nie jest przypuszczone do tajemnicy, pod pieczęcią której znajdują się same nawet zewnętrzne warunki wydawnictwa, mianowicie: jakin funduszem, czym nakładem w jakiej liczbie egzemplarzy i t. d. ma się ta książka na świat pojawić? Czekajmy zatem, w cierpliwości ukorzywszy głowy, co nam *fatum* redakcyjne przyniesie. Tymczasem to tylko z pewnością z autentycznego źródła donieść mogę, iż druk już rozpoczęty skończy się wkrótce po Nowym Roku, bo nakładca, którym ma być podobno jeden z tutejszych księgarzy, położył za konieczny warunek, żeby mógł z początkiem roku puścić książkę w handel księgarski. Drugim wiadomym mi szczegółem jest to, że umieszczone w zbiorze tym artykuły nie mogą mieć więcej nad sto do stu pięćdziesięciu wierszy, albowiem zastrzeżono to wyraźnie w wezwaniu komitetu redakcyjnego do członków *Koła* o dostarczenie artykułów. Będzie to zatem album miniaturowe, puszka opilek

z jubilerskiej pracowni, świecących zapewne nie jednym pięknym brylancikowym drobiazgiem. Ma ono też oile wiem, ukazać się w podwójnym narażeniu, mianowicie w obszerniejszym, przeznaczonym wyłącznie dla Galicyi i W. Ks. Poznańskiego, i w drugim, uszczuplonym, dla reszty świata.

Publiczność interessującą się teatrem zajmuje silnie sprawa rozstrzygającego 1) się konkursu na dalszą dzierżawę teatru hr. Skarbka. Rzecz rozgrywa się właściwie pomiędzy dwoma spółzawodnikami: Dobrzańskim i Miłaszewskim, albowiem kandydat trzeci, mówiąc językiem sportu, wycofał wkładkę, czyli raczej wkładka sama się wycofała, albowiem pominięto ją jednomyślnie tak, jakby jej wcale nie było. Tymczasem dawniejsza dyrekcyja rozwinęła szeroką agitacyją, aby się utrzymać zwycięzko na placu boju. Roznoszono do podpisu adres do kuratorji fundacyi Skarbkowskiej za Dobrzańskim, — drugi podobny adres dano do podpisu artystom sceny. Rzecz naturalna, że podpisali, z wyjątkiem dwóch czy trzech, którym ten objaw odwagi cywilnej mógłby kiedyś dotkliwie się przypomnieć, gdyby dzisiaj dyrekcyja i nadal się utrzymała. Oba te adresy wniesione do kuratorji nie wpłynęły jednak stanowczo na Radę nadzorczą fundacyi, od której rozstrzygnięcie rzeczy zależy. Rada ta składa się z dwóch delegatów Wydziału Krajowego i dwóch delegatów tutejszej Rady Miejskiej, pod przewodnictwem kuratora fundacyi, księcia Karola Jabłonowskiego. Otoż na posiedzeniu zwołanem dla rozstrzygnięcia konkursu zdania były równo podzielone: delegaci wydziału byli za Dobrzańskim, delegaci Rady Miejskiej za Miłaszewskim. Od przewodniczącego zależało przechylić szalę na tę lub ową stronę. Aby jednak zachować wszelki pozór sprawiedliwości i bezstronności postanowiono na wniosek jednego z delegatów Wydziału, po objawieniu zdań powyższych, nie przystępować jeszcze do formalnego głosowania, lecz zwołać wprzód Kommissyją rzeczoznawców, *ankietę*, i dopiero na podstawie orzeczenia tej kommissyji, nie krępując się jednak bezwzględnie jej wyrokiem, przystąpić na przyszłym posiedzeniu do stanowczego załatwienia sprawy. Jako rzeczoznawców powołano do ankiety J. I. Kraszewskiego, Bałutowskiego, Kaszubńskiego, Sawczyńskiego, Leopolda hr. Starzyńskiego i dwóch adwokatów, Horwata i Malinowskiego. Tak złożona ankieta nie ma podobno obradować wspólnie, lecz tylko każdy z siedmiu wymienionych rzeczoznawców, na zapytanie kuratorji, ma głos swój przesłać tejeż na piśmie.

(Dokończenie nastąpi).

## Korrespondencya zagraniczna.

Wystawy: gwiazdkowe, szkół alpejskich, w Muzeum, artystyczne. Pomysł do naśladowania. — „Szkielety“ Zichy'ego. — Wykłady. — Pani Ernst. — „Ciężkie czasy“. — „Pojedynki“. — „Samobójstwo“. Skandal miejski. — Nie będzie balu. — Skandal parlamentowy niemiecki. — Obdarowanie dzieci. — Dwór. — Książki. — Kwiaty. — „Sepy“ następcy tronu. — Operacye brata cesarzowej.

Wiedeń, w Grudniu 1880 r.

(Dokończenie).

Obok wystaw są codziennie prawie koncerty, a na wszystkich pełno; mnóstwo również wykładów publicznych we wszelakich przedmiotach; bywają zajmujące, lecz wogóle są zbyt powszednie; prelekcji nie wysilają się wcale — bo pewni są zawsze liczne audytorium. U nas ta pewność działałaby zapewne przeciwnie. Wymienić wypada wykład: „o siedlisku duszy“ — który wcale na pytanie nie odpowiedział, lecz tylko poszczególnymi funkcjami fizjologicznymi

1) W pismach codziennych warszawskich była już wiadomość o stanowczym rozstrzygnięciu konkursu na rzecz p. Miłaszewskiego. Głos kuratora miał przeważać szalę postanowienia na jego stronę.

się zajmował. Rabin ze Lwowa, Loewenstein miał wykład o Hejnym i poezji wschodniej, a pani Ernst, wdowa po słynnym skrzypku, kilka „cause-ries“, podczas których mówi, śpiewa, czyta, deklamuje o różnych rzeczach, jakby w salonie, od niechcenia, — co jednak właśnie stanowi wdzięk — i wielkie miała powodzenie.

W teatrach pod koniec roku nie widać wcale ożywczego ducha. W operze i w Burgu nic nowego, ale przedsta wienie, jak zawsze, klasyczne. W „Stadttheater“ wznowiono Rosena „Ciężkie czasy“ — o której-to komedyi pisałem wam przed siedmiu laty, że *warto ją dla nas przyswoić*. Nowa farsa Mosera: „Krieg im Frieden“ (Wojna podczas pokoju) — jest farsą, to i wszystko, co o niej powiedzieć można; dużo wywołuje śmiechu, a nie jest ślizka. Sztuka Artera: „Pojedynki“ — jest zupełnie chybną, miała być potępieniem pojedynków, tymczasem jeden bohater, odmawiający z zasady pojedynku, zostaje moralnie i społecznie zruinowanym, drugi zaś przyprowadzony jest do konieczności pojedynku — i to amerykańskiego. Tyrady i morały nie mają żadnego znaczenia wobec takiej akcji. Sztuka upadła. „Samobójstwo“, z włoskiego, Paolo Ferrari, jest sztuką w rodzaju Schauspiel, widowisko à la Birchpfeifer, pełne efektów, podobne do „30 lat życia szuiera“. W drugim akcie bohater się zabija; potem przez 3 akta widzimy skutki: nieszczęście całej rodziny; aż w piątym pojawia się znowu, bo go odratowano; powraca z Ameryki, bogaty, rodzina na starość odzyskuje spokój. Osnowa nieszczególna, ale sceniczność dobra, mieszczańska publiczność lubi takie awantury pobudzające do płaczu. W „Carltheater Nestro-Woche“ — cały tydzień przedstawienie sztuk tego ludowego pisarza, który wraz z Raimundem, dla popularnych miejskich widowisk najwięcej uczynił. W „Ringtheater“ gości francuzka trupa i daje komedjki. Kilku Polaków powzięło zamiar urządzenia tu stałej sceny francuzkiej — zamiar dziwny, wymaga zresztą tak wielkich kapitałów, aby się powiodł, że na szczęście nie przyjdzie zapewne do skutku. Pojawilo się też dziwisko: „niemiecko-żydowski teatr“ — artyści galicyjscy, używający żargonu; mimo całej zrazu protekcji dzienników, wysmiano ich, i po trzech wystąpieniach zniknęli.

W kronice grudniowej nie można pominąć dwóch w całej Europie głośnych skandałów. Rozpuszczono pogłoskę, że następca tronu, którego ślub z belgijską ks. Stefanią odbędzie się na wiosnę sprowadza meble i t. p. z Paryża. Cała prassa, rada miejska, podniosły krzyk oburzenia w obronie i honoru i interesu przemysłu krajowego. Było to naturalne. Wysłano na zwiady i otrzymano od wielkiego ochmistrza dworu stanowczą odpowiedź, że to nieprawda, „że ani szpilki zza granicy niesprowadzono“. Powinno się było na tem skończyć; ale tu Niemcy prowadzą opozycyją przeciw rządowi — każdy powód im dobry byle hałasu narobić. Więc nie poprzestano na odprawie otrzymanej, ale dalej krzyki, podburzania, śledztwa, groźby, że skoro tak, to miasto nie da zapowiedzianego balu w operze na cześć nowożeńców. Obrażono wprost dwór. Zebrała się rada, miały się posypać sprawozdania ze śledztwa; wtem nadszedł list od prezesa gabinetu z oznajmieniem: że cesarz balu nie przyjmuje i prosi, żeby kosztą rozdać biednym — i sam ofiarował 20,000, toż samo następca 20,000. Kompromittacya okropna, moralny policzek; ale to niedosyć. Teraz dopiero zakipiało w całym mieście: jakto, rada miejska wprowadza lud, serdecznie do dworu przywiązany, w kollizyją z cesarzem i z następcą! A dalej, cóż to będzie? do balu wszystko przygotowane, taki bal to znaczy, że przemysłowcy mieliby roboty za jakie pół miliona? — Jakto więc orderzy przepadły, przepadła największa uciecha dla pań radezyń, bankierowych... a dla panien dopiero! Tydzień przedtem odbył się w sali radnej *wiecz paniński*; sto par miało w charakterystycznych grupach defilować na sali i składać dary; malarze, architekci, krawcy, artyści dramatyczni „obrychtowywali“ już te pary... teraz wszystko przepadło. Trzeba znać zamiłowanie Wiednia do zabaw i przywiązanie do dworu, żeby zrozumieć, iż nie było rodziny, w którejby ten skandal i zawód nie był wywołał... seen.

Drugi skandal, również z powodu opozycyji przeciw ministrowi, Polakowi Dunajewskiemu wyprawili Niemcy w parlamencie. Było to posiedzenie w nocy, wśród 36 stopni gorąca, od 7 wieczór do 4 rano, — rozdrażnienie wzrastało z gorącem, a podsycane było z bufetu, — wypili posłowie samego piwa 900 flaszek — zjedli 3 razy cały bufet — około 3 rano, gdy mówca rządowy zanucił opozycyji nieznaną rzecz — porwało się 136 Niemców z miejsc, z pięściami podniesionymi pobiegli do ławy ministrów, krzyki, przewiska, wycie, zamieszanie, stukanie trwało przeszło pół godziny; omal nie porwali się do kijów, a groziło że chłopów niemieckich podburzą. Skandal był kolosalny, po którym zdaje się nie będą już mogli Niemcy wycierać sobie ust polskimi sejmikami.

Koniec miesiąca przyniósł owoce zabiegów, tajemnic, niespodzianek gwiazdkowych. Tu najpierw należy wspomnieć, że dzieci *biedne* grają pierwszą rolę. W każdej dzielnicy miasta w kilku miejscach, na każdym przedmieściu w zakładach, szkołach odbywa się Bescheerung — obdarzanie dziatwy ubogiej ubraniami, przyborami szkolnymi, pieczywem, zabawkami; cała ludność, od dworu począwszy, bierze w tem udział. Jest to akt wspólny, rzewny, skuteczny — a łatwy, jeżeli tylko rzeczywiście wszyscy groszem swoim pomagają. Gwiazdkę obchodzą też wszystkie rodziny serdecznie — dwór na czele — są drzewka osobne dla dorosłych, osobne dla dzieci, osobne dla służby. O każdym rodzinnym szczególe z dworu dzienniki obszernie donoszą, a ludność się tem cieszy.

Obok innych podarunków wielką rolę grają *książki i kwiaty*. Literatura gwiazdkowa nieprzebrana; dla dzieci setki nowości, wiele między nimi lichoty.

Zamiłowanie do wydawnictw zbytkowych z ilustracyami bardzo się upowszechniło. Kwiaty musiały też grać rolę wielką — bo tu niema zimy. Biedni wcale dotąd w piecach nie palili. Pojawiają się motyle, jaskółki się gnieźdzą, wisnie kwitną, poziomki na targ przywożą — więc niby na wiosnę każdy pragnie kwiatów. Wdzięczna to moda, że i mężczyźni i kobiety noszą świeże fiolki, róże... po sklepach stoją całe lasy *konwalij*, sztucznie wyhodowane, ale świeże i pachną jak leśne. Lecz co będzie z zimowemi zasiewami? bez śniegu zmarzną, lub zgniją. Ot i obawa ludzka, wśród noworocznej radości.

Cesarz dostał od następcy tronu na gwiazdkę nowe dzieło jego: *O sepach*. Są to i przygodne i naukowe zapiski ornitologiczne i myśliwskie, bardzo zajmujące. Jest to już druga praca tegoż autora; poprzednio wydał arcyksiążę podróże po różnych krajach austriackich.

Brat cesarzowej, książę bawarski, d-r medycyny, wsławił się tu kilku operacyami chirurgicznymi, zwiedza szpitale, słowem, z całym zamiłowaniem praktyce i nauce lekarskiej się oddaje.

## KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECJI.

Warszawska Rada Miejska Dobroczyńności przyznała w Grudniu ubiegłego roku, dwie nagrody za długoletnie i uczciwie wykonywane obowiązki kucharki: Maryannie Rucińskiej za lat 28 miesięcy 6 i dni 28 służby u p. Zakrzewskiej rs. 150; Agnieszce Skolimowskiej za lat 27, miesięcy 5 i dni 3 służby u p. Mireckiego rs. 75.

Ochrony Warszawskie noszą nazwiska zasłużonych filantropów naszych i obecnie jedna z nich otrzymała nazwisko p. Tekli Rapackiej. Tania kuchnia fundacyi tej pani bardzo szczęśliwie się rozwija.

Pani Petronela Baumanowa postanowiła wprowadzić do ochrony jej fundacyi, dla chłopców Mojżeszowego wyznania, w 1879 r. przy ulicy Ślizkiej założonej, naukę rzemiosł. Do ochronki uczęszcza stale 86 dzieci, pobierając naukę od dwóch nauczycieli. Przy dzisiejszych pojęciach pedagogicznych, które pierwsze nauczanie dziecka każą bezwarunkowo oddawać w ręce kobiece, byłoby

może szczęśliwą zmianą, gdyby miejsce nauczycieli zajęły nauczycielki. Wprawdzie sama zacna fundatorka czuwa troskliwie nad wzniesionem przez siebie dziełem dobroczynnym: jest tu zatem i wpływ, jest sympatyczny dla dziecka współudział kobiet.

Na parę dni przed świętami Bożego Narodzenia zmarła w Londynie znakomita, europejskiej sławy, a czytelnikom *Bluszczu* znana z przekładów powieściopisarka angielska, podpisująca się męzkim pseudonimem: Jerzy Eliot. Z domu Evans, z męża niedawno zaślubionego, Cross, aż do tego zamążpójścia w maju roku zeszłego, nosiła nazwisko uczonego literata i fiziologa, zmarłego przed kilku laty J. H. Lewes; jest przecież w tem życiu jakaś smutna tajemnica, która jej prawnie nazwiska tego zaprzecza, a zdaje się być czemś w rodzaju historii Daniela Rochat. Pochowaną została na cmentarzu High Gate Cemetery, obok grobu H. Lewesa, w niepoświęconej części wspomnianego cmentarza. Nad jej zwłokami przecież odprawione było nabożeństwo, najpierw w kaplicy sekty Nonkonformistów, potem zwykle modlitwy pogrzebowe przy grobie, gdzie złożona trumna: gładka dębowa, nosiła napis: — Marya Anna Cross — Jerzy Elliot — urodzona dnia 22 Listopada 1822 r., zmarła d. 22 Grudnia 1880 r. — *Quella fonte che spande di parlar si largo fiume!* Gdy trumnę spuszczono do murowanej pieczary grobu, zarzuciono ją nieśmiertelnikami i innym kwieciami. Orszak pogrzebowy był niezmiernie liczny i ogarniał w sobie wszystko, co Londyn ma najznakomitszego w literackim i uczonym, nawet politycznym, świecie. Kobiet szczególniej przeciw angielskiemu zwyczajowi, była bardzo wielka liczba, nieustraszonych nawet deszczem, który przez cały czas ceremonii na cmentarzu, padał gęsto. Do liczby bliższych przyjaciół zmarłej zalicza się Herbert Spencer, a niegdyś i Stuart Mill.

W połowie zeszłego miesiąca zmarła również znana światu kobieta, żona niegdyś ministra, a potem prezydenta Francji, Thiersa: osobistość cicha, łagodna, kochającego serca, poświęcona też wyłącznie mężowi i życiu u domowego ogniska. Bogata na miliony, bardzo ładna w pierwszej młodości, zaślubiona w szesnastym roku życia i przez wysokie stanowisko męża należąca do najwyższego świata Paryża, nie zasłynęła nigdy zbytymi, świetnieniami wśród tego próżnego, lekkomyślnego życia modnych salonów, które we Francji, w Paryżu zwłaszcza, podkopyje rodzinę, a odejmując płochą, lekką kobietę wszelkiej myśli poważniejszej, wszelkiemu uczuciu głębszemu, sprowadza z drogi obowiązków i uczciwości. Nieboszczka była wzorowo dobrą i tkliwą żoną. Choć nie odznaczała się żadną wyższością umysłową, choć żartowniejsze paryżcy śmieli z niej się, że drzemie cicho w fotelu wśród licznych zgromadzeń inteligencji paryżkiej, zbierającej się wieczorami wkoło jej męża, umiała ona jednak dać temu mężowi to słodkie szczęście, które pozwalało mu na spokojną, smutnemi burzami domowego życia, domowych trosk i udręczeń nie rozrywając pracę patrioty i myśliciela, w której też z tego powodu jest część jej zasługi, jest jej współudział cichy. Żyła w cieniu osobistości ukochanego człowieka, otaczając go wśród starć i nieszczęść publicznych pokrępiającym uczuciem głębokiej miłości: miłości, przez którą była zdolną wnieść się aż do bohaterstwa. W 1870 r. zaskoczył ją raz przestraszający wypadek. Pociąg kolei żelaznej, którym jechała wraz z mężem, wykoleił się w pobliżu miasta Tours, a ona w chwili strasznego wstrząśnięcia, rzuciła się z szybkością błyskawicy między męża a ścianę wagonu. Dlaczego to uczyniła? pytało później, gdy wypadek nie okazał się w następstwach tak smutnym, jak to przewidywać było można. Dlatego, aby ciałem swoim uczynić mężowi uderzenie mniej niebezpiecznym,

mniej druzgoczącym, odpowiedziała, a dość tego, aby zaliczyć tę kobietę między wyższe, szlachetne osobistości, między dusze piękne. Że zaś nie była to istota bez energii życiowej, leniwy wypoczynek nad wszystko przenosząca, dowodzi czynność, którą rozwinęła już sędziwa w czasie swego wdowieństwa. Jak od samego początku małżeństwa była stałym i jedynym sekretarzem swego męża, tak potem wdowa sama osobiście zajmowała się wydaniem dzieł jego i troskliwa prawdziwie serdeczną dbałością o najmniejszy szczegół, odnosząc się do chwały ukochanego, sama pełniła ostatniego dnia śmierci, prawie już drętwiejącymi rękami. Do pięknych jej czynów należało to, że odrzuciła ofiarowane jej kosztem rządu odprawienie pogrzebu mężowskiego. Wydatek dochodził tu do znacznej summy, może więcej niż kilkudziesięciu tysięcy franków i choć ci, co nierozumiejąc zasady jej cichego, skromnie wiedzionego istnienia, nazywali ją skąpą, zapragnęła tego zbytku, aby własny jej grosz opłacił ostatnią posługę, oddaną na ziemi jej mężowi. Że ówczesny rząd Francji był rządem nieprzyjaznym temu, którego składano na wieczny odpoczynek grobu, czyn szlachetnej dumy ma wyższe, wspanialsze znaczenie. Wytworzyła się we Francji legenda, powtórzona przez wszystkie paryżkie i zagraniczne dzienniki, że śmierć jej została o wiele przyspieszona przez doznaną boleść w Saint Germain, gdzie przy postawieniu drugiego pomnika (pierwszy wzniesiono w Nancy) dopuszczono się zniewag przeciw pamięci jej męża. Działała tu stronnictwość, ciążyła na ludzi paryżkim wpływ powróconych komunistów; niemniej ona umarła z żalu. Była to kobieta uczciwa, kobieta kochająca i dość jest takiej sławy dla każdej mogiły niewieściej. Urodzona w Aix 4 listopada 1821 r., zmarła 13 Grudnia 1880, przeżyła zatem lat 60 uczciwego życia. Pogrzeb był też tak liczny, przez współudział ludności zupełnie tak wspaniały, jak przed trzema laty jej męża, i prócz organów partii komunistycznej, które znieważały zmarłą dlatego, że była żoną Thiersa, wszystkie pisma francuskie ozwały się z wysokim uznaniem cichych jej cnót. *Revue littéraire* pisze: — „Ceux qui saluent la fidelité au foyer et qui savent bien ce qu'une grande intelligence peut devoir d'inspiration à l'amitié d'une femme, ceux-là on suivi avec émotion le convoi de Mme Thiers, et ont tenu de rendre à peu près les mêmes honneurs à la veuve qu'au grand patriote“.

Członek Francuskiego Instytutu E. Caro, wykładający w Sorbonie psychologią i traktujący w bieżącym roku psychologią społeczną (*Action de la société sur l'individu, son rôle dans le développement de l'homme intellectuel et moral*) liczy między swymi słuchaczami tak znaczną ilość kobiet, że stanowią już one część poważną. Wykłady stowarzyszenia: *Association pour l'enseignement secondaire des jeunes filles*, trwające w Sorbonie od czasów ministerstwa Duruy, a otwarte w bieżącym roku szkolnym przez profesora Egger, z Instytutu francuskiego, piękną lekcją wstępna: *o języku francuskim*, są uczęszczane stale, jakkolwiek nie tak licznie, jakby należało, w stosunku do ludności Paryża. Niemniej liczba uczennic przechodzi zawsze sto i wykłady mając wciąż środki i racją bytu, wytworzyły instytucją naukową dla kobiet.

W artykule Emila Girardin, umieszczonym w *La nouvelle Revue* pod tytułem: *L'égalité de l'homme*, znajdujemy wiadomość o wszystkich Francuzkach posiadających naukowe stopnie uniwersyteckie: o ich obecnym życiu, zajęciach i miejscu pobytu. Doktoryzowanych i praktykujących lekarzek jest pięć; „bachelieres-ès lettres et sciences“ dwie; siedm „bachelieres-ès sciences“; dwadzieścia „bachelieres des arts“. Sam artykuł nie ma takiej wartości i interessu dla czytelników nie Francu-

zów, abyśmy go podali naszej publiczności. Tam gdzie nie jest powtarzaniem rzeczy znanych, jest dziwny i niepraktyczny.

Sławna naczelniczka Komunistek francuskich, Ludwika Michel, wzywa kobiety, jak niegdyś Greczynka Listrata, do zmywu przeciw małżeństwu. Żąda aby „żadna dobrze myśląca Francuzka“, nie szła za męża, nie tworzyła ogniska rodzinnego, dopóki Francya nie zmieni praw swoich, nie przyzna w nich kobiecie zupełnej społecznej i politycznej równości z mężczyzną, nie da jej prawa głosowania i wybieralności. Lecz jednocześnie jej towarzyszką i współdziałaczką w tej sprawie, i w innych „działach wolności“ Hubertina Auclert, wychodzi właśnie za męża, za niejakiego Marcadier, urzędnika na kolei żelaznej du Nord. Małżeństwo to zostało przyspieszonym przez śmierć Blanqui'ego. Był to bowiem taki wierny rycearz i satelita Hubertiny Auclert, jak Rochefort Ludwika Michel. We dwoje podróżowali po prowincyi, i na zgromadzeniach, które ściągają wielkie imię starego Komunisty, trzymającą się jego boku Hubertina przemawiała, przedstawiając kobietę. Jest jeszcze cały szereg takich mówczyń: Minck, Paule, Rousade, Kiva, których działalność propagatorska wypromienia się z Paryża. W Perpignan, obywatelka Rocher przemawiała do licznego tłumu o obywatelce Joannie d'Arc, która wyrwawszy z rąk niedołężnego króla sztandar Francji, uderzyła z nim na wroga, śpiewając Marsyliankę. Dzienniki francuskie śmieją się z tej przedhistorycznej Marsylianki, ale ciężka to rzecz nieprzygotowane niczem do działania, porywają się na nie w szale namiętym.

Francuskie Stowarzyszenie „de Sauvetege“ na dorocznym swym zebraniu, ozdobiło złotym medalem dwie kobiety: królową Małgorzatę włoską i filantropkę paryżką Hess, która tej zimy zaopatrzyła w odzież 100 niewidomych starców i 100 niewidomych dzieci.

Ostatnie wykazy statystyczne podają we Francji liczbę nauczycielek w 1878 na 1879 rok, na 63,510, uczących 2,316,053 dziewcząt. Jest w tem: publicznych nauczycielek świeckich 15,493, prywatnych nauczycielek świeckich 8,616; publicznych nauczycielek należących do zgromadzeń religijnych 19,077, nauczycielek prywatnych ze zgromadzeń religijnych 20,324.

Wydaną została świeżo w Madrycie książka pod tyt.: *Kobieta hiszpańska*, przez Senorę Gimeno de Haquez, a jest to głos wzywający Hiszpanki do nauki, do oświaty umysłowej. Godło umieszczone na książce jest: „Kobiety powinny zatknąć przy kolebce dzieci swoich pochodnią światła, powinny rozwinąć ponad niemi flagę postępu i cywilizacji.“

Panna van Diest, Belgijka, która była doktorem rezydentem w kobiecym Londyńskim szpitalu przy Marylebone Road, otrzymała pozwolenie złożenia doktorskiego egzaminu w kraju swoim. Będzie to pierwsza praktykująca w Belgii kobieta-doktor. Bruxelski Monitor ogłosił, że w skutek nowego opracowania praw uniwersytetów belgijskich, otwartym został kobietom przystęp do nich.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 3-ci powieści pod tyt.: **Wódz-Duch.**

**TREŚĆ.** Wspomnienie, (poezya), przez M. I. — Obowiązek, przez Maryą Plicką. — O powinnościach kobiet, (poezya). — Sama jedna, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Nowiny paryżkie. — Korrespondencya zagraniczna, (Lwów). — Korrespondencya zagraniczna, Wiedeń, (dokończenie). **Kronika działalności kobiecej.**



# WÓDZ-DUCH

POWIEŚĆ

KAROLA DESLYSA

przekład z francuzkiego J. M.

(Dalszy ciąg)

VI.

W drodze.

Irlandya ziemia Boża!  
Najdroższa perła morza,  
Najmilszy świata kwiat...

Śpiewa za poetą lud Irlandzki i Tankred powtarzał to w duchu, gdy chudy jego konik galopował weale niezłe drogą, wiodącą do Gorgane — Barra. Poranek pierwszych dni październikowych bywa zwykle pięknym i we Francyi, ale piękność jego wśród okolic przebywanych teraz przez Tankreda tworzyła prawdziwie czarodziejski obraz. Przepyszna zieloność była bujniejszą prawie, jak na wiosnę, okrywając wdzięczne wzgórza, świeże, cieniste doliny, śmiejące się do oczu ludzkich łąki, chmielniki, łąny kwitnącej konieczyny, którą Irlandya zrobiła godłem swoim. A wszędzie jabłonie, uginające się pod ciężarem rumianego owocu, który Pat chrupał białymi zębami. Tankredowi przypominało to Normandyę i wzruszało go melancholicznie, lecz towarzysz jego był niepojęcie wesóły. Dawno już nie był na wsi i tak powietrze, jak otaczające widoki upajały go. Nietylko, że nie pozostawał za koniem, ale wyprzedzał go, wybiegał na przód i wracał, skukał wesoło to z tej, to z tamtej strony, jak wyżeł koło myśliwca. A usta zamknąć mu się nie mogły, mówił albo śpiewał nieustannie i każda dostrzeżona miejscowość przywodziła mu na pamięć jakąś odnoszącą się do niej piosenkę, to o ładnej dziewczynie, to o mądrej babie czarownicy, nieraz o dyable którego oszukała, o zazdrośnym zalotniku, lub parze wiernych kochanków, a czasem mieszała się do tego fantastyczna a tajemnicza legenda, którą Pat powtarzał poważnie z przejęciem wiary naiwnej, lecz gdy wydostano się na płaszczyznę pokrytą łąkami żyta i owsa, które — rzecz niezwykła o tej porze — stały jeszcze na pniu i dopiero żółkną poczynają, oblicze Pata zasepiło się nagle. — Zły rok — rzekł smutnie. Deszcze lały do połowy września i słońce ledwo że kiedy zaświeciło. Arrach! ziarno zmurszało w kłosie, i kartofle przepadły... co ich zostało zgnije i będzie głód!...

Czem się tu przeżywi dzieci.

— Ile lat masz chłopcze? zapytał Tankred.

— Dwadzieścia dwa.

— A ile dzieci?

— Siedmioro, ale to nie moje, to dzieci Peggy.

— Kto jest Peggy?

— Moja narzeczona.

— Zenisz się z wdową, która ma siedmioro dzieci!

— Nie, to są siostry i bracia Peggy. Ojciec jej poszedł do bandy i dragoni go powiesili, matka umarła z żalu i Peggy została sama z drobiazgiem, jak kokosz z kureczętami. Cóż było robić? Już pierwaj byliśmy zmówieni ze sobą, więc jakże? Czym miał odebrać jej pierścionek, czy wy-

pedzić dzieci w świat? O! Peggy nie ostała by się bez nich... była by poszła z niemi żebrać chleba... Ach! ma bouchal... Peggy po zebraniu... Zabrałem wszystko ośmioro do siebie i skoro tylko skończy się żałoba, ożenię się, bo póki nieboszczyk ojciec, lub nieboszczka matka nie rozsypie się w proch w ziemi świętej, grzech jest iść do ołtarza i wyprawiać sobie wesele. Ale tymczasem będzie tego roku głód, ol... będzie... Ciężko przyjdzie przetrwać zimę, ale o przednowku — o! to już strach pomyśleć. Będą ludzie mrzeć...

Tankred patrzył ze współczuciem prawie tklivem na biednego, dwudziestodwuletniego chłopca, który musiał się troszczyć o ośmioro ust głodnych. Wicehrabia de Gaillefontaine nigdy nie zbliżył się poufale do ubożego ludu i teraz wyrzucił to sobie. Czyż i po drugiej stronie kanału nie bywało wśród ścieśnionych po miastach tłumów takiej biedy, takiej nędzy, gdy rok był zły i ziarno dające chleb powszedni zmurszało? A nie wszystkie dusze w piersiach ludu mogą być tak dobrotliwie łagodne, jak Pata; zazdrość, porównanie czynione między dolą własną i tych, którzy byli jednak jego bliźniemi, gromadziły w sercu francuzkich paddyh żywy zawiści i nienawiści, które potem łatwo było wicherzycielom rozdmuchać w płomień pożaru. Tankred myślał o zbytkach dworu Ludwika XV: o zbytkach, szaleństwach szlachty francuzkiej i westchnął.

Rozmyślenia te przerwał mu tentent koni po za nim. Odwrócił głowę i ujrzał w oddaleniu kilku jeźdźców. Było ich pięciu czy sześciu, czerwone mundury dawały poznać dragonów, był to patrol.

Gaillefontaine instynktownie sięgnął ręką do pistoletów, ale przypomniał sobie, że i on już, niemniej jak Pat, nie należy do siebie, że nie jest żołnierzem, odkąd przyjął na siebie zlecenie innego rodzaju i cofnął rękę od broni. Dragoni zaś, ujrawszy go zdaleka wypuścili się kłusem, i wkrótce obskoczyli go w koło; podoficer zapytał o paszport.

— Mam ich cztery — odparł Tankred ironicznie, ale sądzę, że ostatni, z Bristolu, wystarczy. Zapewnia mi spokojne zwiedzanie kraju. Oto jest, panie poruczniku...

Tytuł ten miło polechtał dumę dowódcy patrolu, przytem postawa Tankreda zaimponowała mu. — Przepraszam p: wicehrabio — rzekł, oddając paszport po uważnem jednak przeczytaniu; potem dodał do swoich podkomendnych. — To nie ten ptaszek...

Dragoni pojechali swoją drogą na wschód, a Pat, który stał dumnie przy koniu swojego pana, teraz dopiero odezwał się. — Hollo - houl! zawołał — mamy szczęście... Byli to jacyś dragoni niebywali. Ludzie ich się boją jak ognia. Niech Wasza Cześć spojrzysz.

Droga wiodła koło łąny konieczyny, którą siekło kilku ludzi; gdy ujrano dragonów, kosiarze uciekli i schowali się za krzaki, z po za których poczynały teraz wyglądać ciekawie głowy. — Pokryli się jak kuropatwy przed wyżłami — tłamać! Pat.

Tankred miał teraz sposobność do rozmowy, któraby dała mu pożądane objaśnienia.

— Dla czego dragoni tak jeżdżą po kraju? zapytał. — Czy tu u was wojna?

— Wojna?... a już! Wojna jest niby u nas zawsze i chyba zawsze będzie. Co się trochę uspokoi, to znów zerwie się jakaś ruchawka. Byli to już różni partyzanci, jak ja pamiętam i opowiadają starzy ludzie: *Białe chłopcy, Stalowe serca, Dębowe serca*. A takich panie, których nikt nie zna!... Powiadają, że są między niemi i duchy. Bóg to raczy wiedzieć. Ale niech tylko Anglicy co bardzo przeszkobią, a przyjdzie nocą mgła i gwiazd niewydać. Hillo - houl! wygrzmo-

ca Anglikom skórę i gorzej, pospią ich ślicznie zaświecą fajerwerkiem komu należy, a potem: sza... Rano ani znać: kto to zrobił?

Pat się śmiał, pokazywał białe zęby i szukał oczyma w oczach Tankreda pokłasku. — I Wasza Cześć nie kocha pewno Anglików — mówił, — prawda? Wasza Cześć Francuz i pewno nie kocha Anglików?

— I Anglicy ludzie... odparł Tankred flozoficznie, co przecieży rodraźniło niezmiernie Pata. — Ludzie! wykrzyknął — ludzie!... A czego oni od nas teraz właśnie chcą, czego tak dokazują? Kiedy mieli wojnę za morzem, z Amerykanami, gdzie była też dobra garstka i naszych, rozdali nam tu broń, podzielili na komendy i nazywali ochotnikami. Tacyśmy tam byli i ochotnicy, ale zawsze pałasz, karabin — to człowiekowi miło... Szczęk, brzęk i dziewczyna ładniej spojrzę. Ja sam miałem karabinek i pałasinę, ale w zeszłym roku coś ich nagle ukąsiło i nuż odbierać. O! dobrodzieje... mało kto chciał oddać i z tego zrobiło się gorąco. Jednym odebrali przez gwałt, drudzy woleli uciekać gdzie mogli, a nie dali sobie wzięść. Szukają ich teraz i tej broni, którą ludzie pokryli, pozakopywali podobno w groby, ale tak przytem mordują, czerwone mundury tak się znecają nad ludźmi, tak dręczą i nas, i panów, którzy są z naszej krwi i lepsi niż inni, jak gdyby chcieli właśnie zaczepki z nami szukać. Panowie nam to powiadają i każą się hamować, cierpliwie znosić, ale to proszę Waszej Cześci, trudno... naszym szczególnież trudno! — Bóg nam dał taką naturę, że człek jest jak słoma, na którą iskry leca. Nie może wytrzymać i wyskoczy, jak płomień, choćby z gołą pięścią.

Teraz oczy Pata błyszczały, teraz przerodził się cały i nawet stary lachman liberyjny nie mógł go uczynić śmiesznym. — Hoche miał słusność — pomyślał Tankred, moja podróż tu nie jest daremną.

— Mało im było dragonów — mówił dalej Pat, ściągnęli zatem z tego kraju, gdzie siedzi już kupa Anglików, a i nasi już się tam i sam porobili kacerzami, milicyą taką, którą nazwali: *Wrzosowniki*, i to plugastwo najdokuczliwsze jest, bo zna dobrze nasze kąty. Na dobitkę mamy Niemców...

— A... krzyknął nagle Pat, przerywając opowiadanie. — Wspomnił czarnego dyabła, to zaraz rogi pokaże... Mamy ułanów...

Na wyżynie pagórka, ku któremu zwracała się droga, ukazała się gromada jeźdźców. Było ich ze dwudziestu i ujrawszy naszych podróżnych wypuścili konie jak dragony przed chwilą, ale drapeźniej, zuchwalej niż tamci wykonali tę napaść. Czarny ubiór, trupia główka na ułańskich kaszkietach, a przytem długie wasy jasno opowiadały kto są i razem nieciły mimowolny postrach. Coś dzikiego i okrutnego, rozpasanie i gwałt patrzyły im z oczu i objawiały się w całej postawie. Przypominali pandurów z Trzydziestoletniej wojny.

Oficer, który niemi dowodził, wyglądał przecież inaczej. Młody był, jasnowłosy, i miał w układzie ogładę klas wyższych. Może poznał w Tankredzie człowieka, którego raczył uznać za równego sobie, bo ostro krzyknął na żołdaków swoich, aby stali spokojnie. Zażądał paszportu złą angielszczyzną.

Tankred wyjął ich dwa. — Ten jest z Bristolu, wydany przez władze angielskie — rzekł — ale drugi, Frankfurecki, może się podoba panu lepiej?

Mówił to po niemiecku i szlachetka z po za Renu z przyjemnością usłyszał ojezystą mowę. — A... pan wicehrabia przybywasz z Niemiec — rzekł, siląc się, snadź przez grzeczność, na szkaradnie kaleczoną francuzszczyznę. Przepraszam, żeśmy pana zatrzymali. Szczęśliwej drogi...

Wszystko to było mówione wielce grzecznie, ukłon i ruch cały był uprzejmy i przywoity, arystokratyczny nawet, ale gdy odwrócił głowę ku

żołnierzom, wszystko to zniknęło natychmiast. — Forwerth! krzyknął ostro, groźnie, jak na zło-  
czyńców, a nie na podwładnych swoich.

Ułani sformowali się prędko w szeregowy, lecz jeden z nich przejeżdżając koło Tankreda, sięgnął rękę po płaszcz, który leżał za nim na siodle. Znęcił go piękny galon srebrny, świecący u kołnierza, ale w tej chwili puścił, bo dowódca dojrzał kradzieży, i tak smagnął go szpicrutą przez twarz, że ślad zaznaczył się czerwoną pręgą, z której popłynęła krew. — Puść łajdaku — zawołał, i w tej chwili, znowu kłaniając się Tankredowi z uprzejmym wdziękiem, rzekł łagodnym, słodkim jak cukierek tonem głosu. — Przepraszam p: de Gaillefontaine.

Kiedy zniknęli nareszcie, Pat podniósł pięść w górę. — O... gdyby tak człowiek spotkał się z tym poganinem sam na sam i miał w ręku dobrego *shillelah*...

Tankred był długo w Bretanii rozumiał zatem wszystkie galijskie wykrzyki Pata: wiedział że przyszły małżonek Peggy miał ochotę poczęstować oficera ułanów dębczakiem, bo *shillelah*, znaczy: dębowy kij.

Długa była historia, okrucieństw czar-  
nych ułanów, którą Pat odpowiadał swemu nowemu panu, giestykułując, płacząc i śmiejąc się razem, ale nie będziemy jej powtarzać z obawy, aby nie oskarżono nas o fałsz, o francuzką nienawiść, wymyślającą niepodobne do prawdy rzeczy. Kroniki irlandzkie z owego czasu pełne są strasznych powieści o tych zaciężnych żołdakach z za Renu; dowodził nimi godny takiego wojska hetman: baron Homspach. Zostawił on po sobie okrutną sławę, ale spotkamy się z nim jeszcze i poznamy go w działaniu.

Tymczasem słońce zaczęło zniżać się ku zachodowi. Konik Tankreda postępował już bardzo wolno, on sam uczył potrzebę spoczynku i zarazem przypomniał sobie, że zapewne i Pat musi już być strudzonym. — Czy znajdziemy gdzie niedaleko gospodę? zapytał. Warto już nam wytechnąć trochę, tobie szczególniej...

— O... o mnie, niech się Wasza Cześć nie kłopotuje; koń, na którym Pat jeździ, przyzwyczajony jest obywać się bez popasów. Ale niedaleczko już złąd znajdzie Wasza Cześć uczciwych ludzi, którzy go przyjmą i ugoszczą. Porządny folwark... mało takich u nas.

Istotnie ujrano wkrótce wśród drzew zabudowania rozległego i zamożnego folwarku; zdaleka wyglądało to pięknie i spokojnie, ale wkrótce jakieś dziwne ślady zniszczenia i zamieszania ukazały się podróżnym. Wrota dziedzińca leżały wyrwane na ziemi, ludzie biegali przerażeni — gaszono między gumnami pożar, który dymił jeszcze.

Drzwi domu mieszkalnego stały otwarte, szyby w oknach były powybijane, wielki hałas zmieszanych głosów wychodził z nich, słychać było płacz, zawodzenie kobiece.

— Tu się coś stało? zawołał Tankred, a Pat, który patrzył przerażony, skoczył powziąć języka, lecz w tej chwili powrócił blady, trząsł się cały. — Nieszczęście! nieszczęście! wołał. — Powiesili Donalda za nogi... Godzinę tak wisiał, godzinę... — Umrze, nie docucą go...

— Kto powiesił kogo?

— Kto?... Anglicy pewno... Donald, to dzierżawca tutejszy, sam gospodarz...

Zapłakana dziewczka biegła po coś w sad i Pat zawołał na nią. — Czy zrabowali? zapytał.

— Wszystko — jęknęła dziewczyna. Zabrali nawet zegar ze ściany.

— W takim razie, byli to Niemcy — rzekł Pat smutnie.

Tankred zsiadł z konia. — Chciałbym coś pomódz, ale nie wiem jak? Pożar już ugaszony.

— Szopa ze sianem stoi jeszcze, tego Szwabę zabrać nie mogli i dam trochę przegrzyć koniowi — rzekł Pat. — Wasza Cześć niech tymczasem przejdzie oto tamtędy do sadu i siądzie pod jabłonią. Ławka stoi jeszcze Bogu dzięki, widać, że żadna bestya nie przeszła tędy. Tam —

tu Pat wskazał dom — nikt by z Waszą Cześcią nie mówił. Donaldowa mdleje, stara matka chyba zamrze. Zawołam potem której dziewczyny, albo chłopaka od koni, to może znajdzie się coś zjesć dla Waszej Cześci.

Po kwadransie Pat się ukazał, niosąc ostrożnie węgle w skorupie i kilka jaj w pole swego liberyjnego łachmana. — Zeszło się dużo sąsiadów do biedaka — rzekł. Powiadają, że wytrzyma: puścili mu krew. Jest tam i ksiądz Jan...

Potem objaśnieniu ustawił węgle między dwoma kamieniami, rozżarzył je i położywszy jaja na trawie, zawrócił się raz jeszcze ku domowi, zkąd przyniósł jakieś naczynie i ugotował w nim jaja. Właściciel gospody pod *Królem O' Donaghe* dał mu na zapas bułkę chleba, butelkę wina i wędzony ozór, więc podróżny obiad nie był najgorszym, ale Tankred ledwo go mógł przełknąć. Mysł o człowieku, który wisiał godzinę za nogi, dławila go.

Ale był wojskowym i nauczył się już tak spać obok trupów na pobojowisku, jak jeść w pobliżu cierpień.

Pat nie chciał nie jeść. Schował do kieszeni, parę jaj, które mu Tankred zostawił, zebrał i schował niedokończoną przez Tankreda wędlinę i chleb, nawet jego skórki odłamane zebrał troskliwie, z uszanowaniem, ale jeść nie chciał. — Potem — rzekł — jak słońce zajdzie. Nie jadam tak często.

Tankred dał mu dwa luidory złotem, aby wręczył to komu z domowych, jako zapłatę za obrok konia i jaja; gdy wrócił po chwili przyprowadzając podjezdka, rzekł:

— Oddałem złoto Waszej Cześci księdzu. Będzie na pogrzeb...

— Jaki! wykrzyknął Tankred — nieszczęśliwy umarł?

— Tak: umarł... Kiedym tam poszedł po żelazniak do ugotowania jaj, właśnie oddał ducha Bogu. Nie chciałem mówić, aby Wasza Cześć nie straciła apetytu. Donaldowi już byto było nie pomogło...

Żywi miał w oczach i Tankred spojrział na niego ze współczuciem. — Dla tego nie chciałeś jeść?... zapytał.

— Tak... może dusza jeszcze była blisko. Nie godziło się...

Tankred nie wsiadł na konia, ale wyprowadził go za udę aż na gościniec.

Choć po domu biegano, lamentowano głośno, jemu się zdawało, że powinien cicho wydalic się z tych miejsce żałoby, gdzie „może dusza była jeszcze blisko“...

Smutny był niezmiernie i okolica zmieniła się też w koło niego. Już nie przedstawiała teraz wesołych, śmiejących się widoków. Droga coraz węższa zdawała się być tylko wybojem między posepnymi wzgórzami, które pokrywała twarda, niska trawa. Tam i sam sterczały zmurszałe pnie drzew, wystających jak szkielety po nad nędznymi, karłowatymi zaroślami. Był tu kiedyś las, wycięty teraz i zniszczony, nie chcący odrastać na jałowym, lichym gruncie; w dali ukazywały się ciemne skały granitu, podobne do przewróconych kadłubów wielkich okrętów, które tu osiadłszy, skamieniały. Skały te dźwigały się z torfowiska, woda rudego koloru błyszczała w każdym zakłębnięciu gruntu, stała w każdym parowie i to nasuwało na myśl powyższe porównanie, które Tankred mimowoli sobie uczynił, patrząc jakgdyby na scenę jakichś tajemniczych kataklizmów. Wśród ciernistych krzaków płynęły, a raczej ciekły cicho strumienie, czarne jak Styx. Przed niemi rysowała się na widnokręgu góra naga i groźnie posepna; była to pustynia dziwnie ponura i Tankred nie mógł też wśród takiego krajobrazu zapomnieć smutnych wrażeń, które wyniósł z domu zamordowanego. — Dla czego dopuszczono się tego gwałtu i zabójstwa na człowieku spokojnym i pracowitym rolniku, jak dowodzi wszystko, com widział? zapytał Pata.

— Tam mówili, że chcą, aby naród się wzburzył. Ludzie kochali bardzo Donalda, wszyscy

go kochali: biedacy i bogaci, dla tego go zgładzono... Przyczepili się do niego, aby im wskazał, gdzie mieszka *Dziki Ir*, jakgdyby kto to wiedział...

— *Dziki Ir*?... Zdawało się Tankredowi, że szczególnie to miano nie pierwszy raz obięło się o jego uszy. — O kim mówisz? zapytał swego przewodnika. — Kto to jest?

Pat obejrzał się w koło i ostrożnie przysunął do Tankreda: — Dla nas to anioł, archanioł niebieski, a dla *nich*, to — czart...

— Proszę cię, tłumacz się jaśniej. Mówiłeś przecież jak o człowieku. Cóż to znaczy: *Dziki Ir*?

— A... pan przecież umiesz po angielsku, więc wiesz... odparł Pat, wymijająco.

— *Dziki Ir* może oznaczać krajowca, to jest Irlandczyka w stanie pierwotnym, może mieszkańca puszczy jakiej zapadłej, człowieka dzikiego... Czy tak?

Pat zlekka skinął głową. — Tak — rzekł — ludzie powiadają, że to tak, że *Dziki Ir* przybywa z tamtąd, gdzie nikt nie zaszedł dotąd, odkąd Sassenachy są tu, na wyspie naszej. Ile razy była w Irlandyi wojna z czerwonymi mundurami, zawsze *Dziki Ir* ukazuje się i dowodzi. Kiedyś, kiedyś dawno zwał się on *Wódz-Skała*, potem, też dawno temu: *Wódz-Zemsta*, teraz nazywają go *Wódz-Ciemność* — *Wódz-Potnoc*...

— Jest to więc *Wódz-Duch*?..

— Tak panie: jest to *Wódz-Duch*!... Anglicy nie mieli go nigdy w ręku, nie dostali się nigdy do niego. Bywało, że padła nam wielka przegrana, nastąpiła wielka porażka: palili kraj, mordowali ludzi, ale jego nigdy nie dostali: uszedł do siebie...

— Hillo! Hillo - hou! To wielki przed Panem łowiec Sassenachów, wielki nasz wój... hetman: *Wódz-Duch*!...

Pat stał się w tej chwili do niepoznania innym ciałem i duchem, przerodzonego człowiekiem.

Podniósł prawą rękę i wytrząsał nią — wytrząsał w stronę gdzie trup Donalda leżał na marach.

Tankred chciał uspokoić namiętną tę egzaltację. — Co ty mówisz, chłopcze szalony? zapytał. — Ież to lat żyje ten wasz bohater niezwykniężony?

— Pięćset — odparł Pat naraz spokojny. — Pięćset lat już żyje i jest tak młody, jak Wasza Cześć, małego co starszy.

— Czy ty sam możesz wierzyć takim rzeczom? — Po co więc opowiadać takie niedorzeczności?...

Pat nie odpowiedział wręcz, tylko błysnął spojrzaniem. — Wiem tylko jedną rzecz, że jutro będzie wisieć przed zagrodą Donalda trzech Czarnych Niemców — rzekł po chwili. — To jego rachunek, *Dzikiego Ira* — trzech za jednego!

Dojeżdżali do owej groźnie posepnej góry, która rzucała ponury cień na drogę, i choć Tankred chciał jeszcze mówić i poważnie zainteresowany, choć pozornie żartujący, pragnął powziąć najwięcej jak można było objaśnić, Pat nie chciał już prowadzić rozmowy w tym przedmiocie. — Niech Wasza Cześć wybacz, ale nie dobrze jest tutaj mówić, a szczególnie śmiać się. Jesteśmy właśnie jakgdyby u bram domu *Dzikiego Ira*, bo na jego granicy. Odtąd zaczynają się jego włości, tu on panuje, a nadchodzi też jego czas — noc...

Istotnie mrok już teraz zapadał, już ciemniało.

Tankred nie nalegał, a przytem zajęty był widokiem, który go otoczył niespodziewanie. Po raz drugi krajobraz zmieniał mu się przed oczyma, jak w latarni czarnoksiężskiej, ale teraz niespodzianka była większa: góra zastąpiła im drogę tak, jakgdyby to była twierdza, u której bram stanąć trzeba, bo po obu jej bokach, jak oko dojrzyć mogło, ciągnęły się łańcuchy skał. Przecież z prawej strony widać było pod tym skalistym murem coś, jak ślad wązkiej drożyny, która kazała się domyślać, że tędy puścić się trzeba, aby okrążyć nieprzebytą zapórę, ale Pat ujął przy pysku konia, i zawrócił go właśnie na lewo, prowadził kilkaset kroków między odłamami gra-

nitu, zasiewającymi tu nierówny grunt dzikiego, wzgórzystego rozłogu, aż naraz zakręcił znowu i okrążył urwisty wyskok skały, aby wprowadzić konia, a z nim i zadziwionego, niemal przestraszonego Tankreda w wązki i niełatwo dostrzegalny otwór: w szczelinę skalną, o tyle szeroka, że tylko pojedynczy człowiek mógł się nią przedostać.

Gdy przecież, przebyto tajemnicze te wrota Tankred ujrzał przed sobą widok isticie czarowny: była to śliczna dolinka okryta bujną trawą, kwitło jeszcze na niej mnóstwo kwiecica, ziół aromatycznych, których woń rozchodziła się przy rosie wieczornej. Różne krzewy i piękne sosny rosły na niej wdzięcznie rozrzucone, aż zwolna zaczęły tworzyć niby aleję dla drogi, po której obu stronach widać było płynące bystro strumyki. Wydostały się z owej groźnej ścianyskał, która pozostała w tyle; nie które spadały w dolinkę kaskadą i te szumiały, pienią się jeszcze w wązkich łożyskach swoich, ożywiając wesoło ciszę wieczoru. Tankredowi zdawać się mogło, że znajduje się wśród jakiej sławnej pięknością miejscowości Oberlandu.

Po godzinie drogi, dolinka poczęła się rozszerzać, stając się przecież więcej jeszcze malowniczą: ujrano w dali piękne jezioro Gurgane Barra.

Brzegi zarysowywały się w ślicznie łamane, nieregularne linie, ale woda jeziora zdawała się płonąć. I niebo płonęło także, było całe czerwone, płomieniste.

— Co to za pyszna zorza! zawołał Tankred. — Bo to zorza być musi, gdyż słońce zaszło już przecież od dawna...

Pat milezał i patrzył uważnie. — To nie zorza żadna — ozwał się po chwili. — Niech Wasza Cześć popędza konia.

— Tylko ten przyładek zasłania nam zamek O' Connor — dodał — zobaczmy go zaraz, okrążywszy.

Ale wtedy wydarł się z piersi obu podróżnych jeden okrzyk przerażenia. Stary zamek palił się...

## VII.

### Nowy przewodnik.

Widok pożaru był niewypowiedzianie fantastyczny, budynek bowiem był wyniosły, i obszerny. Wzniesli go przed wiekami władcy tej części Irlandyi, gdyż ród O' Connorów wywodził się z królów, a nie była to genealogia fikcyjna i wiarogodne dokumenta dowodziły tego, co wreszcie potwierdzała bezspornie historia kraju. Stary zamek był też pomnikiem historycznym i mimo całej surowej bezwzględności, z jaką Angliacy rozrządzali się w Irlandyi, nie byli by się targnęli na stary zabytek przeszłości i ogień podłożyła ręka niemiecka. W wiekach fanatyzmu religijnego, który rzucił się na Irlandyę okrutnie, potęgując nienawiść dwóch odwiecznych wojujących tu ze sobą szcepów: Saksońskiego i galijskiego, szlachetnym gmach ocalał dzięki swemu ustronnemu położeniu; ale już w wiekach wyższej cywilizacji, w wiekach rozwijających się pojęć tolerancji, taką dzikością nie byłoby się splamiło regularne wojsko angielskie: zacieźny łupieżca teutoński to zrobił.

W miarę jak się zbliżano do miejsca pożaru, widok stawał się coraz straszniejszym. Gmach płonął już od rana. Napad wykonano przed świtem i zrabowawszy zamek, zapalono go dopiero; ogień już też przygasał chwilami, wybuchając przecież nagle, gdy znalazł sobie jakiś pokarm nowy, i wtedy to jezioro i lasy okoliczne stawały się czerwone, jakgdyby również w ogniu. Skały przybierały wtedy przerażający pozór, wielkie brzozy rozrzucone po nad jeziorem i stare dęby rozsochate, które się pomiędzy niemi wznosiły, wyglądały jak krwawe widma. Gdy przygasało,

to podnosiła się tylko ku niebu ogromna kolumna dymu, który błakał się też pod niebem, jak szmaty ogromnych chmur, to rudo, to białawo czerwonych, to nagle czarnych. Czasami ogromne głównie potężnych belek, kawały rozpalonego muru padały w jezioro i gasły w niem sycząc, tylko jeszcze sama fasada zamku stała nietknięta i rysowała się czarno na tle płomienistej luno — Strasznie było patrzeć, strasznie było widzieć tę wielkość starożytną, która rozpadała się w zniszczenie.

— Jutro będą tu już zgłiszczą tylko — rzekł Tankred z wielkim bólem serca.

— Jutro zgłiszczą, a potem ruiny, które porosną zieleń pasyżnym...

Pat był niemy, szedł jak lunatyk.

— Co to jest? zapytał go nagle Tankred. Usłyszał jakgdyby wykrzyk przeciągły, zbiorowy: głos, którego nie mógł zrozumieć.

— Ludzie pewno gaszą pożar i może coś się stało: czegoś się zlekli, czegoś zadziwili... dodał.

Pat nie odpowiadał, naraz wykrzyk powtórzył się, teraz był głośniejszy, wyrazistszy i zdawało się, że Pat chce skoczyć tam, między krzyczących, ale był to tylko ruch przelotny, który powstrzymał. — Panie — rzekł — to kruki kraczą... Po sepach zleciały się kruki.

Niezmierna gorycz brzmiała mu w głosie, Tankred też nie śmiał go zapytywać, ale Pat po chwili sam mu opowiedział, co przypuszczalnie działo się w zamku. Gdy czarne ułany podpaliwszy, odjechali, tłum zbiegł się ratować; zapewne byli wtedy tacy co mu przewodniczyli, ale gdy ogień wziął górę, gdy walka z żywiołem okazała się daremną, wtedy gromady rzuciły się na rozrywanie tego, co się dało unieść z pożaru. Pat poznał jakgdyby wykrzyk wiwatowy i wniósł z tego co się stało: pewno odbito piwnicę, wytoczono wino i raczono się niemi...

Tankred spał ostrogami swego małego konika i puścił się w cwał ku zamkowi, aby ujrzeć wkrótce wśród obszernego trawnika gromadę chłopstwa, wśród rozrzuconych sprzętów różnych, stosów najrozmaitszych przedmiotów. Wiatr, pędził iskry, i dym na jezioro, tu więc panowała względna spokojność i bezpieczeństwo i tu też, wśród poznoszonych rzeczy, które wyrwano ogniowi, wytoczono kilka beczek i beczulek z piwnicy zamkowej. Jedną odbito i podstawiano pod otwór od wyjętego czopa naczynia najosobliwsze, nierzadko czapki i pito, raczono się, smakowano, bo był to napój rzadko kiedy i chyba przemycanym sposobem znany ustom Irlandzkiego ludu — wino.

Wino to hiszpańskie, mocne a słodkie upajało bardzo szybko nieprzyzwyczajonych do niego, i nadużywających go więcej, niżgdyby to była woda. Gdyby jedni nie popychali drugich, pito by de upadłego, ale na szczęście każdy chciał zakosztować co prędzej, pomimo to nie przyszło do szturchańców, bo lud Irlandzki jest z natury łagodny, gdy go się nie zadraśnie bardzo głęboko, przytem już się zabrano do odbicia drugiej beczki; trzecią wtaczano na kamienie, mające zastąpić lewary, więc wszyscy mieli nadzieję nasycenia się dostatecznego. Gdy z dużego, dębowego cebrzyka, w który zdołano, opędzając się natrętem, natoczyć z pierwszej jeszcze beczki tyle złościstego płynu, aby kilka osób zaczerpnęło go sobie razem, wtedy to krzyknięto chórem wiwat.

Pijaństwo doszło już do tego stopnia, że bezwstydnie krzyczano zdrowie O' Connora: — Niech żyje! wołano! niech żyje zdrow! Daj mu Boże szczęście...

Nikt nie uważał zbliżania się jeźdźca i jego przewodnika, ale w tej samej chwili, gdy Tankred przybywał z jednej strony, z drugiej ukazała się grupa mężczyzn. Szli szybko, ale poważnie i w milezeniu; gdy dochodzili już do pijących, wydzielił się z gromadki jej przewodca zapewne i podszedł tuż do miejsca uczyty. Gospodarujący w tej chwili, nie patrząc nawet kto to jest, podał mu wino w ogromnym otrąconym pucharze szklanym.

— Łykaj bracie! wołał gościnnie podczaszy — pij

co się zmieści. Tyle tego co człek wydrze ogniowi. — Niech żyje O' Connor...

— O' Connor! wykrzyknął oby groźno — każesz mi to pić za zdrowie O' Connora?...

— I starego Erynu! Hollou - hou!...

Hollou - hou! powtórzyli przytomni, ale nowo przybyły chlusnął w twarze pijaków zbydlęcającym ich trunkiem z pucharu: — Milez gromado obrzydła, nędzna, głupio potworna! zawołał głosem do grzmotu podobnym. — Usta wasze niech nie kalają świętego imienia nieszczęśliwej waszej krainy. Eryn!... co wam Eryn? Wy nie dzieci tej ziemi, nie — to kłamstwo... Wy jesteście wyrodki, podły plód nędzy i ciemnoty. Wasz pan i dobroczyńca jest zbiegiem nieszczęśliwym, jest wygnańcem, który nie ma gdzie skłonić głowy, a wy tu uczujecie, wyprawiacie sobie stypę na zgłiszczach jego mienia i szczęścia — nizezmiemny...

Głos rozlegał się strasznie wśród milezenia, które zapanowało nagle. Zaprzeszono pracować koło innych beczek, zaprzestano tłoczyć się do tej, z której lała się struga wina, przepełniając już cebrzyk. Trwoga jakaś, przerażenie ogromne ogarnęło tłum tak rozochociony niedawno.

Ale wśród chwili głuchego milezenia kilku śmielszych ochłonęło. — Co to! krzyknięto — co to wymyślać nam jak psom! Czy może miało się spalić wszystko? Panowie mają zawsze, niech też i biedny użyje choć czasem...

Jeden nawet wysunął się na przód. Miał w ręku ogromny *shillelah* i już go przekładał z dłoni do dłoni. Nieznajomy stał jednak przed nim tak objętny, jak gdyby nie chodziło tu wcale o niego. Wyprostowany był dumnie, u nóg leżał mu puchar roztrzaskany o ziemię, na którą go rzucił przed chwilą; z podniesioną głową patrzył na wysokiego draba, który mu groził, gdy nagle nowy wybuch płomienia, strzelający z bocznej, a pobliskiej wieżyczki zamku, oświecił mu twarz luną czerwoną i stał się jak gdyby cud. — Ach!... wykrzyknęła cała bliższa gromada i cofnęła się w tył. — Ach...

Jakiś ton pokory brzmiał w wykrzykniku, pokory, ale razem i radości.

Nie trwoga, ale raczej cześć, raczej uszanowanie pchnęło w tył tłum, oddaliło go jakgdyby chciał robić miejsce panu, z którym nie godziło mu się bratać. Kilka kobiet ukłękło i stała się cisza jak w kościele.

— Zabrać wszystko, coście uratowali z pożaru — ozwał się nieznajomy mniej surowym, ale zawsze gromkim jeszcze głosem. — Sprzęty i zapasy, wszystko w ogóle wolno jest wam wziąć, ale ani beczek z winem, ani beczulek z whisky nie tknąć mi. Gdybyście nie byli lichemi, słabemi stworzeniami, trunki te, przechowane w lochach, które pod zgłiszczami zostaną, i używane pomiernie, uczciwie, mogłyby wam pójść na zdrowie, na wzmocnienie sił. Ze przecież nie tak by się działo, muszą zostać zniszczone. Rozbić beczki...

Ostatnie słowa, rozkaz, zwrócony był do ludzi jego orszaku. Mieli tylko grube dębowe kije i strzeleckie kordelasy za pasem, gdy przecież przystąpili z temi narzędziami do dzieła zniszczenia, z gromady podano z milezącą pokorą siekiery. Kilka uderzeń, zadanych silnymi rękami w każdą z beczek, rozłupywało je, strugi kosztownych napojów płynęły po ziemi, nikt przecież nie ozwał się, nikt się nie poskarżył.

Zabierano ocalone z płomienia przedmioty i oddalano się w milezeniu, a nieznajomy sprawca tego zmienionego ruchu, stał w miejscu pilnując. Czasem komuś ze swoich ludzi kazał pomódz jakiejś biednej kobiecie, dźwigającej ciężar nad siły, czasem kazał komuś, którego łupy były znaczniesze oddać coś innemu, który nie umiał się zaopatrzyć. Przytomność jego wstrzymywała też niewątpliwie kłótnie, a może bójki, któreby inaczej byłyby wybuchnęły z pewnością przy podziale zdobyczy; ludzie jego obchodzili dalsze gromady, trzymając wszędzie porządek.

Gdy po pewnym czasie oczyścił się już w części dziedziniec, Tankred, trzymający się dotąd na uboczu pod kępą drzew, zesiadł teraz z konia

i z kapeluszem w rękę podszedł ku nieznanemu. — Panie — rzekł — słyszałem szlachetne twoje słowa i widziałem szlachetne twoje działanie. Słuchano cię jak pana, zapewne też mam zaszczyt widzieć sir Artura O' Connor. Mam do niego zlecenie i przybyłem tu w celu, aby go dopełnić...

— Nie jestem sir Arturem — odparł nieznanomy z grzecznym ukłonem. Starożytny gmach uległ dla tego zniszczeniu, że nie znaleziono w nim jego właściciela i przez zemstę wydano na pastwę płomieni szlachetną budowę.

— Gdzież więc należy mi szukać sir Artura? Potrzebuję się z nim widzieć, muszę się widzieć... Przybywam dla tego z daleka...

Chwila milczenia zapanowała po tych słowach Tankreda. Jakkolwiek nie było obok niego nikogo, ponieważ Pat pozostał przy koniu, jednak obaj wachali się mówić więcej. W końcu Tankred dodał: — Przesłany jestem do sir Artura z listem ważnym...

— Zechoć pan powiedziec mi swoje nazwisko — rzekł na to nieznanomy, ale poseł Hoche zawahał się. Łuna pożaru biła tak jasno w stronę mówiących, że widzieli twarze swoje, jak w jasny dzień i nieznanomy ozwał się nagle. — Ach! ja pana znam, ja wiem kto jesteś, wiem... Zaraz panu powiem, jak się zowiesz.

Tankred zadziwiony spojrział mu bystrzej w oczy. Był to człowiek jeszcze młody, najwięcej jeżeli dochodziło mu lat czterdzieści. Wysoki, kształtny, silnie i pięknie zbudowany, okazywał wyraźnie całą postawą, że jest mocny, zdrow, lekki do biegu, wytrzymały na trudy. Rysy twarzy miał regularne i szlachetne, czoło wysokie, pleć ogorzała; piękne, duże oczy ciemno piwne, odpowiadały kasztanowatym włosom i zarostowi tegoż koloru. Usta miał pełne, czerwone jak koral, nos prosty, cienki, ale znać było, że w chwilach uniesienia, namiętności, delikatne nozdrza rozdymały się jak u szlachetnego rumaka, lub u lwa pastyni. Energia i siła niezłomna widniała w tem pięknym obliczu mężczyzną, które przeciwieństwo miało niezmierną, niewysłowioną przyjemność w ustach. Fizognomia była szlachetna i cała postać uderzająca, niepospolita, łatwa do zapamiętania, skoro się ją już raz widziało i Tankred też, który już poprzednio sobie powtarzał: — Gdzieniam ja widział tego człowieka?... nagle wykrzyknął: — Już przypominam sobie! już wiem!... Spotkał się w Ameryce...

Nieznanomy ukłonił się układnie. — Jesteś pan wicehrabia de Gaillefontaine — rzekł. Byłeś adjutantem La Fayette'a.

— Jutro będę mieć zaszczyt zaprowadzenia pana do sir Artura O' Connor.

— Czemu nie teraz zaraz, nie dziś — odparł Tankred po uściskaniu podanej sobie ręki. — Odkąd tu jestem, przekonywam się więcej jeszcze niż to było poprzednio, że moje zlecenie powinno być wykonane co najspieszniej. Okoliczności naciskają.

— Jednak musimy poczekać do jutra p: wicehrabio. Droga jest daleka i należy się przekonać, czy jest wolna. Wiesz już pan, jak zjadł się ścigają O' Connora, godzi się też zachowywać wielką ostrożność, aby go nie zdradzić i nie wydać. W tym kraju p: wicehrabio, musisz się nauczyć tej nieznannej ci enoty: ostrożności. W Ameryce nazywano cię: *Tankred Zuchwały*; tu powinienes się starać o przydomek: *Tankred Roztropny*.

Jakaś wyższość, jakaś moc niewoląca do uszanowania i posłuszeństwa jego słowom tak jaśniała na pięknej czole nieznanego, że Tankred ukłonił się tylko. Tymczasem jego nowy przewodnik obaczył dawnego pod drzewem. — To pański koń i pański służący? zapytał Tankreda.

— Tak — odparł tamten. Moja Rossinanta i mój Sancho... tylko modą krajową para ta nie jest otyłą.

— Proszę odesłać ją pan, z kąd przybywasz... Z Corku... No, to nie zbyt daleko. Zanim się

pan z tem załatwisz i ja muszę tu jeszcze dojrzeć trochę porządku. Do zobaczenia zatem.

Sklonili się sobie i Tankred poszedł oznajmić towarzyszkowi podróży, że się muszą rozdzielić, co zasmucilo silnie Pata. Uczciwy chłopak powziął już wielką przychylność dla cudzoziemca, który widocznie nienawidził Niemców, a kochał Irlandyę. — A... rzekł też żałośnie — a... jużem panu niepotrzebny. A jednak może bym się zdał, bo jak pan ztąd wyjedziesz? Jest wprawdzie i inna droga, niż ta którąśmy się tu dostali, ale dalebóg, że nie łatwa. Czerwone mundury tylko nią jeżdżą i łamią na niej karki...

Tankred przyjaźnie mu wytłomaczył, że go się nie pozbywa na zawsze, ale tylko chwilowo daje mu urlop. W razie potrzeby da mu znać o sobie listem, adressowanym do gospody pod *Królem O' Donoghe*. Oprócz zapłaty za przewodnictwo, darował mu konia, który był rzeczywicie wytrzymałym, mocnym zwierzem. Mógł go według woli zostawić sobie i zarabiać nim, lub też oddać właścicielowi, a sobie wziąć pieniądze, które Tankred dawał za niego. Dla Pata był to majątek i nigdy szersza wdzięczność nie błysnęła z niezylich oczu. — Umarłbym za Waszą Cześć — zawołał — i choć teraz już mi bieda nie dokuczy, wolałbym zostać przy panu. To ciężkie czasy, może bym się zdał.

— A Peggy?... Nuż by ci ją kto odmówił — rzekł Tankred. Był wzruszony i dla tego żartował.

— O! Peggy jest uczciwa dziewczucha i nie da się odmówić. U nas panie to tak: kiedy się dwoje pokocha, to już na całe życie... do śmierci.

— Przenocuję tu w jednej grocie — rzekł w końcu. Znam to miejsce, jest tam zawsze suchy mech i trocha gałęzi. Ludzie wiedzą, że niejednemu trzeba czasem takiej ouberzy, do której nie zaglądną policyanty i dla tego jaki taki, co tam zajdzie, rzuci choćby drzazgę smolną.

Miał ze sobą chleb i wędlinę, miał półbutelki porto, bo jaja zjadł już w drodze oddawna, więc nie bojąc się ani chłodu, ani głodu, oddalił się w stronę jeziora. Konik miał się też czem pożywić, bo trawa była wszędzie bujna i soczysta. — Dobrego zdrowia Waszej Cześci — rzekł na pożegnanie. — Daj mi Boże zobaczyć jeszcze Waszą Cześć...

Tankred zwrócił się ku płonącemu gmachowi. Sufity zaczęły właśnie padać w tej chwili i co moment rozległ się przykro głuchy łoskot tego upadku.

Płomienie wybuchały teraz przez okna i liwały coraz wyżej piękną rzymską fryzję nad wielkimi drzwiami. Wśród migotu ognistych języków postacie heraldyczne wznoszące się po bokach herbowej tarczy O' Connorów, zdawały się nagle ożywiać jakimś nadprzyrodzonym życiem; rzec było można, że usiłują oderwać się od tarczy, do której rzeźbiarz przykuł je niegdyś, aż nagle fryza pękła i z łoskotem poczęła się walić na ziemię. Tarcza O' Connorów runęła z nią razem i rozprysnęła się na kawałki, trafiła bowiem na kamienne wschody przedsiönka.

Rozbite szczątki zasypały właśnie to miejsce, przez które niegdyś wstępowano ku honorowemu wejściu: króle i pany chadzały tędy, teraz duch ruin i zgłiszczy: milezące zniszczenie, miało przejść, aby objąć w posiadanie ruinę.

Tankred patrzył zadumany, gdy w tem nieznanym, który doń powracał, ozwał się po za jego plecami smutnym głosem: — Zła wróżba p: wicehrabio; stare proroctwo przepowiada, że gdy ta tarcza spadnie, skończy się ród O' Connorów, bo jej ostatni potomek umrze śmiercią gwałtowną...

— Ale nie powinienem dodawać panu smutków moich do niewesołego już i tak obrazu — ozwał się po chwili z grzecznością. W zamku nie znaleźlibyśmy już ani jednej izdebki takiej, gdzieby można spokojnie i bezpiecznie przenocować, ogień nurtuje wśród starych murów i szerzyć będzie zni-

szczenie swoje przez noc i jutro jeszcze, a nawet dni kilka, więc też trzeba nam się zwrócić gdzieś indziej. Ale Bogu dzięki pustelnia Firr Bar, to jest pustelnia Świętego Starca jeszcze stoi na swej cichej, a przez lud okoliczny głęboko czonej wysepce na jeziorze i jeżeli pozwolisz wicehrabio, będę miał zaszczyt poprowadzić cię tam.

Tankred skłonił się i obaj zwrócili się w stronę jeziora, lecz zanim dostali się na brzeg, nieznanomy zatrzymał się: — Panie wicehrabio, błagam cię, odpowiedz na moje pytanie, które dyktuje mi nie prosta ciekawość jedynie. Przybywasz pan z Francji? Tak... dobrze — ale kto pana przysła.

— Hoche.

— Oh! wykrzyknął nieznanomy radośnie. A kiedy przybywa?

— Już on nie przybędzie nigdy i nigdzie na tej ziemi... Hoche nie żyje...

Nieznanomy cofnął się krokiem w tył, i zdawało się że uderzył weń grom. — Nie żyje... nie przybędzie nigdy... powtórzył.

Zrobił ruch jakgdyby chciał rozpacznie załamać ręce, ale zatrzymał się, przegarnął sobie włosy na głowie, i zawołał głośno: — Hola...

Towarzysze jego zbliżyli się żywo, on wyszedł na ich spotkanie, i rzekł poważnym głosem: — Obesłać jutro z pierwszym świtem jutrzienki wszystkie hrabstwa, aby postawiono czarno krzyż na drogach. Niech się stanie cicho, bardzo cicho, aż do nowego rozkazu. Za osiem dni zebranie na wrzosowisku Allen, lecz do tej pory niech się nikt nie rusza z domu — niech się nikt nie rusza ani na krok. Na Min - Bog nie będzie mnie jutrzejszej nocy. Do widzenia bracia...

Wszyscy oddalili się, prócz jednego. Tamci odchodzili, szepejąc cicho, lecz żywo. Stało się coś złego i radzili o tem; ten przecież, który pozostał, przystąpił do nieznanego.

— Panie — rzekł. A jeżeli by ona przybyła na Min - Bog i znalazła tylko noc i ciemność?

— Czekaj tam zatem i daj jej to...

Schylił się ku ziemi i szukał oczyma, wreszcie z pomiędzy wysoko rosnących ziół zerwał gałązkę różowego wrzосу i dał ją temu, który czekał na ów znak, mający mówić za niego.

Jezioro było już bardzo blisko, słychać było łagodnie uderzanie fal o brzeg; nieznanomy poszukał łódki ukrytej między trzciną i poprosił Tankreda, aby w nią siadł, sam zaś zabrawszy miejsce obok, wiosłował, kierując się ku małej wysepce, zarosłej drzewami. Żelazny krzyżyk rysował się pomiędzy nimi wysoko na niebie.

— Za szczęśliwszych czasów Irlandyi mieszkał tu człowiek pobożny i dobroczynny — ozwał się nieznanomy, gdy się zbliżano do jej brzegów. — Leczył on i oświecał lud, który też cześci go dotąd jako świętego. Stoi jeszcze kaplica, w której się modlił, czasami jakiś kapłan odprawi w niej jeszcze nabożeństwo.

Obok małej gotyckiej kapliczki stała przypierająca do niej chata, wzniesiona z kamieni, jedyne jej okno, było oświecone.

— Tu przenocujesz wicehrabio — rzekł nieznanomy, gdy przybiwszy do brzegu posunęto się w głąb wysepki. — Nie ma tu żadnego innego mieszkania ludzkiego.

(Dalszy ciąg nastąpi)